

RODZINA

TYGODNIK

NR 5 (343) ROK VIII. WARSZAWA 29. I. 1967 CENA ZŁ 2

KATOLICKI





NAD GROBEM KAPŁANA

Ks. Infułat Jerzy Józef Osmólski urodził się w Osmoli dnia 1 lipca 1906 roku z ojca Jana i matki Józefy Osmólskich. Gimnazjum ukończył w Białymstoku. Studia filozoficzno-teologiczne odbywał w Wyższym Seminarium Duchownym w Pińsku. Święcenie kapłańskie otrzymał w 1929 roku z rąk księdza biskupa Zenona Jasińskiego ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Płn.

W okresie międzywojennym ks. Osmólski pracuje w różnych parafiach, głosząc wyzwolenie społeczne i religijne. Jest organizatorem parafii w Lipsku n/Wisłą, w Grabówce, Jastkowicach i w Lublinie oraz współorganizatorem parafii w Osówce i Tarłowie. Jego

niezależna postawa spowodowała prześladowanie ze strony duchowieństwa rzymskokatolickiego i ówczesnych władz państwowych. Nękaną go procesami sądowymi i karami więzienia, grzywnami. Zrywano z niego szatanę twierdząc, że nieprawnie ją nosi, bo nie jest księdzem rzymskokatolickim, przy rewizjach konfiskowano szaty liturgiczne.

W dniu 5.XII 1936 r. ks. Osmólski wyrokiem Sądu Grodzkiego w Rozwadowie skazany został na więzienie za to, że w parafii Jastkowice udzielał sakramentu chrztu i małżeństwa oraz wydawał zaświadczenia o urodzeniu. Sąd uzasadniał swój wyrok tym, że ks. Osmólski dopuścił się wykonania czynności urzędowej, do której nie był upoważniony jako ksiądz polskokatolicki (narodowy).

Orzeczeniem starosty z Tarnobrzegu z dnia 19 XII 1934 r. skazany został na więzienie i grzywnę za przywłaszczenie sobie stanowiska i tytułu proboszcza. Dnia 4 sierpnia 1935 r. starosta w Tarnobrzegu ukarał go za publiczne noszenie stroju duchownego oraz za to, że był ubrany w szaty liturgiczne podczas prowadzenia pogrzebu.

W okresie okupacji hitlerowskiej ks. Osmólski przebywa w parafii Lublin. Tutaj nawiązuje kontakty z podziemiem i angażuje się w walkę z okupantem. W tym czasie obejmuje stanowisko proboszcza Zamościa, gdzie czynnie wiąże się z Armią Ludową oraz Batalionami Chłopskimi. W partyzantce pełni funkcje opiekuna duchownego oraz kierownika przerzutów łączników poszczególnych grup partyzanckich z terenu Zamojszczyzny na teren Lubelszczyzny i inne tereny Polski.

W budynku kościelnym organizuje schowek gdzie ukrywa osoby, które musiały opuścić teren Zamojszczyzny i udać się do pracy podziemnej na innych terenach. Przez pewien czas obsługuje w Zamościu zakonspirowaną w budynku kościelnym radiostację.

Ks. Osmólski jest inicjatorem dywersji w szeregach żołnierzy węgierskich stacjonujących w Zamościu, w czym dopomaga mu ks. Borlaky, węgierski kapelan wojskowy. Dezerterzy z armii węgierskiej przebywali ukrywani w schowkach nieraz po kilkanaście dni i wzbogacali podziemie w broń maszynową, amunicję, które zdawali żołnierzom Armii Ludowej. Zdarzyło się kiedyś, że jeden z dezerterów węgierskich po opuszczeniu schowka, kierując się do granicy węgierskiej, został zatrzymany przez Gestapo. Odstawiony do dowództwa węgierskiego w Zamościu, wyrokiem sądu polowego został skazany na karę śmierci i rozstrzelany na cmentarzu polsko-prawosławnym. Nie przyznał się i nie wymienił miejsca schowka. Świadcami tego byli ks. Borlaky, ks. Osmólski oraz parafianie zamieszkujący przy kościele w Zamościu jak: Aleksander Polak, Jan Hećko, państwo Miziowie i Kazanecy.

W pierwszych dniach po wyzwoleniu kraju spod okupacji hitlerowskiej, ks. Osmólski opuszcza parafię i udaje się do pracy na ziemiach odzyskanych. Działa w parafii Boguszków, w Wałbrzychu, Leśnej Miroszowie,

Cieplicach, Świdnicy, Wrocławiu. Pracuje przy odgruzowywaniu placu przy kościele porządkuje kościół i obecną kaplicę Wrocław Leśnica.

Na podkreślenie zasługuje szczególnie fakt, że od 1945 r. pracując i organizując nowe parafie nie otrzymuje znikąd pomocy pieniężnej, lecz sam stara się swoją pracą i środkami pieniężnymi pomagać księżom i parafiom.

Znamy jego dobre i szlachetne serce i pamiętamy, że każdy ksiądz znalazł u niego pociechę, pomoc materialną i odpowiednią zachętę w postaci pouczenia odnośnie duszpasterstwa na niwie polskokatolickiej.

Przy parafii Marii Magdaleny we Wrocławiu był 17 lat proboszczem, a ostatnio pełnił zaszczytną funkcję infułata i wikariusza generalnego kurii biskupiej diecezji wrocławskiej. Był współredaktorem podstawowego Prawa Kościoła Polskokatolickiego.

Zachorował w 1963 r. W styczniu ub. r. przebywał w szpitalu Akademii Medycznej, gdzie poddał się bardzo skomplikowanej operacji trwającej 4 i 1/2 godziny. Niestety wszelkie zabiegi okazały się daremne. Dnia 22 grudnia 1966 r. ks. infułat Jerzy Józef Osmólski odszedł w krainę wiecznego pokoju. Niechaj Chrystus, który ks. Osmólskiego do swego Królestwa powołał, ukoi nas wielkością miłosierdzia swojego i zachęci, abyśmy umieli iść drogą obowiązku i poświęcenia oraz byli zawsze gotowi złożyć swe życie w ofierze dla dobra i szczęścia naszego Kościoła, Ojczyzny i naszych braci. (ks. G.)



SŁOWO BOŻE JAK ZIARNO...

EWANGELIA

św. Mateusza (13, 24-30)

Onego czasu: Powiedział Jezus rzeszom tę przypowieść: Podobne stało się królestwo niebieskie człowiekowi, który posiał dobre nasienie na roli swojej. A gdy ludzie spali, przyszedł nieprzyjaciel jego i nasiał kąkol między pszenicę i odszedł. A gdy urosło zboże i owoc wydało, wtedy ukazał się kąkol. Przystąpiwszy tedy słudzy gospodarza, rzekli mu: Panie, czyżeś nie posiał dobrego nasienia na roli swojej? Skądże się tedy wziął kąkol? I rzekł im: Nieprzyjazny człowiek to uczynił. Powiedzieli słudzy: Chcesz, pójdziemy i zbierzemy go. A on rzekł: Nie, byście snadź zbierając kąkol, nie wykorzenili z nim i pszenicy. Dopuszczcie obojgu rósć aż do żniwa, a w czasie żniwa powiem żeńcom: Zbierzcie pierwszej kąkol i zwiążcie go w snopki na spalenie, a pszenicę zgromadźcie do gumna mojego.



W czym nasienie do słowa Bożego podobne? Nasienie żywi ciało nasze, a duszę naszą żywi słowo Boże. Jednego i drugiego pokarmu potrzebuje człowiek, bo z ciała i duszy jest złożony. Dlatego mówił Jezus: „nie samym chlebem żyje człowiek, ale wszelkim słowem Bożym”.

Słowo Boże — to ta nauka, którą Jezus przez trzy lata w krainie żydowskiej ogłaszał, którą potem po całym świecie roznieśli apostołowie. Dziś nam tę naukę głosi Kościół. Zowiemy ją słowem Bożym, bo wyszła z Boskich ust Jezusa Chrystusa. Otóż to słowo Boże karmi duszę naszą, głód jej zaspokaja. Bo i dusza może głód cierpieć, tak samo jak ciało, bo i dusza ma potrzeby swoje, które koniecznie pragnie zaspokoić. Dusza nasza ma przecież rozum i wolę. Nadto ma człowiek serce. Każde z nich woła do nas: daj mi chleba, daj mi chleba.

Rozum chce się karmić prawdą — prawdą o rzeczach stworzonych i prawdą o Bogu. Jedna i druga musi być czysta i niewątpliwa — inaczej pocnie się człowiek buntować przeciwko „prawdzie”. Wola pragnie wolności wyboru, a serce dąży do szlachetnych i szczytnych ideałów, wśród których — dla człowieka wierzącego — na czele stoi ideał dobroci i miłości — Bóg.

Tego Boga sercu naszemu niesie słowo Boże, gdy mówi nam, jak dobrym On dla nas. „Wyznawajcie Pana, bo dobry, bo na wieki miłosierdzie Jego” (Ps. 136, 1). Więcej jeszcze słowo Boże mówi nam o Bogu. Mówi: „tak Bóg umiłował świat, iż Syna swego jednorodzonego dał, aby wszelki, co wierzy weń, nie zginął, ale miał żywot wieczny” (Jan 3, 16). Jakże mu za to serca nie oddać? Z Bogiem tylko i przy Bogu serce nasze szczęśliwe, gdy Bóg sam całe je wypełnia.

Ziarnem jest słowo Boże. Nasienie zboża od początku świata mnoży się i mnoży, i co dzień miliony ludzi karmi. Ale i słowo Boże bez końca mnoży się w ustach kaznodziejów i po całym świecie rozchodzi i na żywot wieczny karmi też dusz miliony. Ono oświeca rozum nasz, wole naszą skłania

do życia bogobojnego, całe serce uszczęśliwia, bo mu Boga przynosi. Kiedyś jeszcze i niebo nam to słowo Boże otworzy, jeśli je na serio potraktujemy i wzrastać w nas dozwolimy.

W przypowieści dzisiejszej o siewcy i o roli daje nam Jezus poznać, dlaczego tyle kazań, tyle głoszonych nauk idzie na marne i nie przynosi pożądanego owocu. Tłumaczy mianowicie, że ze słowem Bożym sprawa się ma podobnie, jak i z ziarnem, które rolnik rzuca do ziemi. Padnie ono na rolę dobrą, to plon obfity przynosi, padnie zaś koło drogi, lub na opokę albo też między ciernie — wcześniej czy później zmarnieje. Padną i słowa Boże przez kaznodziejów głoszone na serca chętne, wnet się przyjmują i owoc dobrych czynów dają. Lecz gdy serca słuchaczy podobne są do drogi, którą kto chce, jedzie i kto chce idzie, t.j., kiedy ludzie w czasie kazania o czym innym myślą, niewielki wtenczas z głoszonego słowa pożytek. Podobnie też i u tych skutku z kazania nie widać, których serca jak opoka zakamieniałe, albo znów jak ta rola chwastami i cierniami zarosła, czyli sprawami przeróżnymi — nieraz bardzo dalekimi od spraw nadprzyrodzonych — są zaabsorbowane. Co w takiej sytuacji począć?

Rolnik glebę przygotowuje na przyjęcie ziarna — nam gotować trzeba umysły i serca. Trzeba nad nimi popracować.

Człowiek zobowiązany jest do dwojakiego rodzaju pracy. Jedna odnosi się do zajęć umysłowych lub fizycznych, wypełniających przeważną część każdego dnia, a służy zarabianiu na życie oraz celom doczesnym, druga obejmuje wszelkiego rodzaju wysiłki woli celem urobienia człowieka pod względem duchowym. I to jest owo uprawianie gleby pod zasiew Bożego ziarna.

Bóg daje duszy niejako cały organizm nadprzyrodzony, na który składają się: łaska uświęcająca wraz z cnotami wlanymi i darami Ducha św., charakterystyki sakramentalne chrztu, bierzmowania i kapłaństwa oraz każdemu z przyjmowanych sakramentów właściwa łaska sakramentalna, czyli

prawo do łask odpowiadających szczególnym celom. Bóg użycza następnie każdej duszy niezliczonych łask posiłkowych na każdym kroku, tak iż żyje ona stale w atmosferze nadprzyrodzonej, byle tylko nie stawiała działaniu Boga przeszkód, lecz przyjmowała łaski i współdziałała z nimi. Łaska uprzedza każdy akt nadprzyrodzony, towarzyszy mu, lecząc władze duszy i uzdalniając do działania nadprzyrodzonego.

Przed człowiekiem staje jedynie konieczność zajęcia się serio pracą nad sobą przy współpracy z Bogiem.

Konieczność współpracy człowieka z łaską wypowiedział św. Augustyn w krótkich słowach: „Stworzył cię Bóg bez ciebie, ale cię nie zbawi bez ciebie”.

Zbawić duszę... Wielkie słowo.

Dziś nikt nie opuszcza domu rodzinnego i nie szuka odosobnienia na pustyni. Klasztory też spełniły już raczej swą historyczną rolę, zresztą są dostępne dla wybranych, tymczasem obowiązek przygotowania duszy pod boży siew, na przyjęcie ziarna Słowa Bożego, ciąży na wszystkich: „doskonałymi bądźcie, albowiem Ojciec wasz w niebie jest doskonały”.

Musimy się uświęcać, udoskonalać wśród naszych rodzin, w biurze, w fabryce, w kopalni, w stoczni, w warsztacie pracy, w sklepie. Jak to uczynić?

Dwa są rodzaje pracy...

Jedna praca dla chleba, dla pieniądza, doczesna, druga dla duszy, dla Boga. Jeżeli pierwszą wykonamy uczciwie, sumiennie, poprawnie, szybko — wówczas pracujemy również w drugim znaczeniu: zasługujemy wobec Boga naszą rzetelną postawą, broniąc się przed duchową tępota, lenistwem, nieczułością. Jednym słowem pracując uczciwie dla Ojczyzny, bliźniego i siebie w sensie ziemskim — pracujemy również dla ojczyzny naszej niebiańskiej, dla Boga, dla naszego zbawienia. Stan łaski poświęcającej i łask uczynkowych, którymi jaśnieć winno serce wierzącego Polaka i obywatela Ojczyzny doczesnej, czyni nasze działanie zasługującym na ojczyznę wieczną, umożliwia i ułatwia nam osiągnięcie najważniejszego naszego celu: zbawienie duszy.

„Trzeba chleba — trzeba nieba” — mawiali nasi ojcowie. I słusznie: w pracy dla chleba i dla nieba może nam być pomocne Słowo Boże, które jest jak przewyborne ziarno.

Ks. M. P.

STYCZEŃ—LUTY

N	29	Franciszka
P	30	Macieja
W	31	Ludwika
Ś	1	Brygidy
C	2	Marii
P	3	Błażeja
S	4	Witosława

Mongolskie świątynie

Dawną Mongolię przywodzą na myśl już tylko lamaickie świątynie. Świątynia zbudowana w typowo wschodnim stylu, cała rzeźbiona w drzewie, bajecznie kolorowa. Można pół dnia oglądać

jej fronton. Rzeźby maszkar, malowidła potworów, egzotyczne freski z roślinnymi motywami. We wnętrzu panuje półmrok spotęgowany zwisającymi kawałkami materiału od sufitu, bardzo kolorowymi, z



przewagą purpury i złota. Na wprost główny ołtarz Buddy, a po bokach w typowy wschodni sposób, naprzeciw siebie w dwóch rzędach siedzą lamowie. Ubrani są w kolorowe chałaty (nie pierwszej świeżości), z księgami w zapisie tybetańskim, które trzymają na kolanach. Ich modlitwa to nieprzerwana melodeklamacja... Dla Europejczyka stwarza to wrażenie melodyjnego bełkotu, przerywanego co pewien czas głośniejszym dźwiękiem trąb, gongów różnego wymiaru i bębnow...

Obok w drugiej świątyni prowadzony był dialog pomiędzy najstarszym lamą a pozostałymi. Znow melodyjna deklamacja niesamowicie niskiego basu, który groźnie wibrował i odpowiedź chóru lamów w wysokim rejestrze głosu, zakończona przeciągłym jękiem...

Ludzi wierzących jest tu bardzo mało. Od czasu do czasu wsunie się jakaś postać starego Mongola, czy ogolonej łysej Mongołki, (wg zwyczaju przygotowanie się do śmierci). Obchodzą dookoła świątynie, w której przy wszystkich ścianach ciągnie się ołtarz z przeróżnymi wersjami posągów Buddy oraz dobrych i złych bogów. Następnie wychodzą ze świątyni, aby pomodlić się za pomocą specjalnych modlitewników. Modlitewniki te mają kształt cylindryczny, umieszczone są na osi i opatrzone tytułem. Wystarczy pokręcić, aby dana modlitwa została zaliczona... Przed świątynią umieszczone są także specjalne pochyłe deski, na których wierni zsuwają się i wstają i tak kilka razy...

(Fragment reportażu M. Rzepeckiej pt. „Muzyka Mongolii”, zamieszczonego w „Ruchu Muzycznym”, XII.1966).

MOCHNY AKCENT JUBILEUSZOWYCH UROCZYSTOŚCI

Polski Narodowy Kościół Kat. w Ameryce uroczystie obchodził 100-lecie urodzin swego założyciela ks. bpa F. Hodura. Założyciel Kościoła z biednej wywodził się rodziny, ale w życiu swym okazał niezwykle bogactwo ducha, którym hojnie darzył tych wszystkich, którzy się z nim zetknęli. Kościół, którego był założycielem i szermierzem zrodził się z buntu przeciw krzywdzie i z miłości do ludu polskiego, szukającego chleba na obczyź-

nie. Lud ten, pozbawiony opieki, szukał jej w kościele. Ale i tam znajdował krzywdę. Duchowieństwo i hierarchia kościelna chciały go pozbawić języka ojczystego. Mowy ojców, w której chciał przemawiać do swego Boga. Wtedy przyszedł z pomocą ks. Franciszek Hodur. Ze sekciarzem i buntownikiem nazwali go hierarchowie niemieccy i irlandzcy, z których rąk wydzieral dusze polskie — to rzecz rozumiała. Ale dlaczego oplwali go

również kapłani polscy i Polacy?... Na zakończenie uroczystości jubileuszowych zebrał się w Scranton Pa, w miejscowości, gdzie młody ks. Hodur rozpoczął swą misję religijną i narodową, biskupi Kościoła Polskokat. aby oddać hołd swemu Założycielowi. Zebrani biskupi uchwalili rezolucję, która kończy się mocnym akcentem świadczącym o przywiązaniu do Polski i o uznaniu nienaruszalności jej granic na Odrze i Nysie.

REZOLUCJA

My, niżej podpisani biskupi reprezentujący Polski Narodowy Katolicki Kościół w Ameryce, Kanadzie i w Polsce, zebrani w dniu 29 listopada 1966 r. w SCRANTON, Pa., na Konferencji Biskupów pod przewodnictwem Pierwszego Księdza Biskupa Dr Leona GROCHOWSKIEGO, stwierdzamy uroczystie co następuje:

1. Bogu Wszechmogącemu składamy serdeczne dzięki za to, iż od pierwszej chwili zorganizowania Polskiego Narodowego Katolickiego Kościoła w Ameryce, Kanadzie i w Polsce, aż do dnia naszych ołtarzy Kościół nasz święty swoją Ojcowską opieką nie szczędząc Nam swego błogosławieństwa.
2. W setną rocznicę urodzin organizatora Polskiego Narodowego Katolickiego Kościoła — wyrażamy nasz najgłębszy hołd Biskupowi Franciszkowi HODUROWI i tym wszystkim, którzy z Nim żyli, pracowali, cierpieli i budowali Odrodzony Kościół.
3. Wszystkim Kapłanom oraz Braciom i Siostram podlegającym Naszej jurysdykcji w Ameryce, Kanadzie i w Polsce, przekazujemy serdeczne pozdrowienie, zachęcamy ich wszystkich do dalszej owocnej i konstruktywnej pracy, oraz udzielamy Im naszego bis-

kupiego błogosławieństwa we wszystkich przedsięwzięciach zmierzających do dobra i rozwoju naszego św. Kościoła, do dobra i szczęścia Narodu Amerykańskiego, Kanadyjskiego i Polskiego.

4. Podkreślamy, iż Kościół nasz święty w Ameryce, Kanadzie i w Polsce jest jednym Kościołem pod względem dogmatycznym i ideologicznym, posiadającym swoje krajowe administracje kościelne. Wyrazem tej jedności jest pobyt u nas biskupów z Polski w osobach: Naczelnego Biskupa — Ks. Biskupa Juliana Pękali i Ordynariusza Diecezji Warszawskiej — Ks. Biskupa Tadeusza Majewskiego. W tej jedności pragniemy pracować i pomagać sobie w granicach naszych możliwości dla wspólnego dobra.
5. Polsce, wkraczającej w drugie Tysiąclecie swej państwowości przekazujemy naszą część i synowskie przywiązanie. Stwierdzamy uroczystie, iż uznajemy granicę Państwa Polskiego na Odrze i Nysie i traktujemy tę granicę, jako nienaruszalną, trwałą, sprawiedliwą oraz jako granicę pokoju.

SCRANTON, PA., Dnia 29 listopada 1966 r.

† Biskup Dr Leon Grochowski
Pierwszy Biskup Polskiego Narodowego Katolickiego Kościoła.

† Biskup Józef Soltysiak
Ordynariusz Diecezji Wschodniej.

† Biskup Julian Pękala
Naczelný Biskup Kościoła Polskokatolickiego w PRL.

† Biskup Franciszek Rowiński
Ordynariusz Diecezji Zachodniej.

† Biskup Tadeusz Zieliński
Ordynariusz Diecezji Buffalo.

† Biskup Eugeniusz Magyær
Administrator Diecezji Słowackiej.

† Biskup Tadeusz R. Majewski
Ordynariusz Diecezji Warszawskiej
Kościoła Polskokatolickiego w PRL.



Zbrodniarz bez winy

Wystarczy przypomnieć dwa fakty, aby stwierdzić, że był zbrodniarzem:

- pełnił funkcję Wyższego Dowódcy SS i Policji w tzw. Kraju Warty,
- oraz był dowódcą specjalnej grupy bojowej podczas powstania w Warszawie.

O zbrodniczej działalności na terenie Poznańskiego można pisać tomy. Podobnie o działalności podczas powstania.

Reinefahrt — o nim bowiem mówimy — generał SS i policji, krwawo zapisał się w naszych dziejach. W okresie Powstania Warszawskiego dowodził osławioną brygadą SS-Dirlwängera, złożoną z wszelkiego rodzaju przestępców i zbrodniarzy, brygadą „Kozaków”, oddziałami policji i Wehrmachtu. Jego bezpośredni przełożony, gen. von dem Bach Zelewski, stając przed polskim prokuratorem w Norymberdze, takie m. in. złożył oświadczenie: „Osobiście poszedłem do Reinefaharta, spotkałem go na jego stanowisku, gdzie się okopał... Poinformowałem go o całej sytuacji, następnie zwróciłem mu uwagę na całej „bezholowie”, które zauważyłem i na

to, że jego oddziały rozstrzelują niewinną ludność cywilną. Wówczas Reinefahrt zwrócił mi uwagę, na istniejący wyraźny rozkaz Himmlera. Pierwszą rzeczą, którą mi opowiedział było to, iż otrzymał wyraźny rozkaz, że nie wolno brać jeńców i należy każdego mieszkańca Warszawy zabić. Zapytałem go: „Czy kobiety i dzieci także?”, na co ten mi odpowiedział: „Tak, kobiety i dzieci także.”

Na pewno nie należy wierzyć von dem Bachowi, że tak troskał się o polskie kobiety i dzieci, że był tym rycerzem bez skazy, który walczył jak prawdziwy dżentelmen, ale von dem Bach na pewno nie kłamał, gdy mówił o rozkazie Himmlera zabijania każdego Polaka (taki rozkaz rzeczywiście istniał) i nie kłamał, gdy mówił o wykonaniu tego rozkazu przez oddziały podległe Reinefahrtowi. Już to jedno „koleżeńskie” świadectwo powinno wystarczyć. Tymczasem...

W lipcu 1946 r. Polska Misja Łącznikowa do Badania Niemieckich Zbrodni Wojennych zwróciła się do władz amerykańskich w Niemczech o wydanie władzom polskim przestępcy wojennego gen. Reinefaharta. Żądanie

zostało powtórzono we wrześniu 1947 roku. W odpowiedzi władze amerykańskie oświadczyły, że postulowani generałowie m. in. Reinefahrt są „potrzebni” władzom amerykańskim. W międzyczasie przekazały Reinefaharta do strefy brytyjskiej.

W styczniu 1949 r. zwróciliśmy się z wnioskiem o wydanie Reinefaharta do władz brytyjskich. Brytyjczycy odmówili wydania, motywując swoje stanowisko niezrozumiałymi „względami bezpieczeństwa”.

W 1949 r. uniewinnił Reinefaharta sąd przysięgłych w Hamburgu, w 1950 roku został on zdenacyfikowany. Reinefahrt „zbrodniarz bez winy” wkroczył teraz odważnie na arenę życia politycznego w NRF. Został burmistrzem Westerlandu i posłem do Landtagu.

Od czasu do czasu ktoś jednak przypomniał zbrodniczą przeszłość „Wyższego dowódcy SS i generała policji” hitlerowskiej.

W 1958 r. dr H. Thieme, profesor prawa we Fryburgu, który jako oficer Wehrmachtu przebywał w czasie Powstania w Warszawie, oskarżył Reinefaharta o nieludzkie traktowanie ludności cywilnej.

Wtedy odezwał się chór obrońców. Posypały się deklaracje i oświadczenia, że Reinefahrt jest „człowiekiem honoru”, że oskarżanie go o zbrodnie jest „oczernianiem przeszłości niemieckiej”, że Reinefahrt zdecydowanie przeciwstawiał się mordowaniu ludności cywilnej. Słowem — obrońca uciśnionych i znowu — rycerz bez skazy! Prokuratura zachodnoniemiecka chętnie skorzystała z tego ro-

dzaju oświadczeń. Reinefahrt został uniewinniony.

Jednak wobec niezbitych dowodów odnalezionych przez historyków niemieckich prokuratura we Flensburgu była zmuszona ponownie zająć się sprawą gen. Reinefaharta. Ale najbardziej oczywiste dowody i fakty nie trafiają do przekonania prokuratury we Flensburgu. Uparła się, żeby zbrodniarza uznać niewinnym.

Dyrektor Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, dr C. Piłichowski tak sprawę ujmuje:

„...pragnę podkreślić odpowiedzialność Reinefaharta:

- za końcowy okres masowej zagłady około 10.000 Żydów w obozie masowej zagłady w Chełmie n/Nerem pow. Kolo, za likwidację 47 więźniów obozu w Chełmie n/N. z 17 na 18 stycznia 1945 r.;

- za zbrodnie wszystkich formacji policji, SS, żandarmerii, za mordy na ludności cywilnej w tzw. Kraju Warty przez cały okres jego urzędowania, a w tym i w styczniu 1945 r.;

- za spalenie żywcem 160 więźniów obozu żabikowskiego pod Poznaniem z 20 na 21 stycznia 1945 r.;

- za zbrodnie wszystkich formacji policji, SS, żandarmerii, za mordy na ludności cywilnej w tzw. Kraju Warty przez cały okres jego urzędowania, a w tym i w styczniu 1945 r.;

- za zbrodnie w obozie dla dzieci w Łodzi przy ul. Przemysłowej,

- za końcowy etap likwidacji getta łódzkiego...

- za wysiedlenie ludności polskiej z tzw. Kraju Warty latem 1944 r.”

No i oczywiście — za zbrodnie popełnione w Warszawie...

Katalog zbrodni niemalv.



APEL O POMOC DLA OFIAR WOJNY W WIETNAMIE

Wojna w Wietnamie trwa mimo nie milknących protestów i apeli organizacji religijnych, społecznych i politycznych na całym świecie.

Apel Światowej Rady Kościołów, papieża i znanych osobistości sprawiły, że na kilka dni, z okazji Świąt Bożego Narodzenia Pańskiego i Nowego Roku ucichły walki, co z kolei wzbudziło nadzieję, że krótkotrwałe zawieszenie broni zmieni się w trwały pokój. Nadzieje te okazały się płonne. Bomby amerykańskie padają nie tylko na walczące strony obu Wietnamów, lecz zabijają także spokojnych ludzi, wśród nich starców, kobiet i dzieci.

Jako wyznawcy Jezusa Chrystusa, Księcia Pokoju, odrzucamy wojnę jako środek załatwiania sporów i modlimy się o to, aby trwały pokój na ziemi zwiastowany przez aniołów, był widocznym znakiem utrwalańia się Królestwa Bożego na naszym niespokojnym globie. Ale to nie wszystko jeszcze. W obliczu ciężkiej niedoli ludu wietnamskiego, spowodowanej okrutną wojną, wiara nasza i miłość chrześcijańska na-

kazują nam pomagać i to tam, gdzie pomoc najbardziej jest potrzebna.

Światowa Rada Kościołów w Genewie oraz inne organizacje religijne od dawna niosą pomoc ofiarom wojny w południowym Wietnamie. Ostatnio Światowa Rada Kościołów przekazała za pośrednictwem Polskiej Rady Ekumenicznej 20 000 dolarów na lekarstwa, urządzenia szpitalne, narzędzia chirurgiczne itp. dla Wietnamu północnego.

Do akcji tej postanowiły się włączyć wszystkie Kościoły należące do Polskiej Rady Ekumenicznej, które również złożą ofiary na ten cel.

Spodziewamy się, że wszyscy wierni, pomni własnych przeżyć wojennych, chętnym sercem złożą swoją ofiarę na znak solidarności i współczucia z tymi, którzy niewinnie cierpią.

Polski Oddział Ekumeniczny Konferencji Pokojowej

Polska Rada Ekumeniczna

Prezydium Rady Kościoła Polskokatolickiego w PRL



CZŁOWIEK
KTÓRY
UCZYŁ
|
BAWIŁ

Śmierć Walta Disneya (15 grudnia 1966) jest „nieszczęściem dla całej kinematografii światowej”, jest stratą dla ogólnoświatowej kultury. Syn cieśli z Chicago, twórca reklamówek i karykatur od chwili, gdy wylądował w Hollywood, gdy założył tam wytwórnię filmów Disneya, które obiegły cały świat, stał się obywatелеm świata a jego dorobek — własnością ogólną. Stworzył niezapomniane postacie zwierzątek — psa Pluto, kaczkę Donalda, myszki Mickey, urocze filmy o świnkach i kaczątku, cudne rysunkowe bajki. Tworzył dla dzieci, ale twórczość jego bawi i raduje również starszych.

Disney nakręcił ponad 600 różnych filmów. Zdobył aż 30 Oscarów. Jest to miara jego popularności i niewątpliwej wartości.

Należy także również przypomnieć, że Walt Disney założył miasteczko rozrywkowe (Disneyland), które zwiędziło już 60 mln ludzi.



Rozmyślania przy kominku

SMAK SUKCESU

Nie tak dawno czytaliśmy w „Kulisach” historię o pewnym studenckim „kawale” i jego epilogu, jakiego rozegrał się na sali sądowej.

Nie wnikając głębiej w motywy oskarżonego i pozostawiając na boku pytanie — działał czy nie działał z chęci zysku oraz na ile to był „kawał”, a na ile wybrzyk chuligański — przypomnijmy sobie kilka głównych faktów.

— Otóż, podczas wakacji na wsi pewien student nadał przez miejscowy radiowęzeł komunikat, w którym oznajmiał, iż jest pełnomocnikiem od werbowania „artystek kinowych” i wzywał dziewczęta, aby się zgłaszały, zachęcając jednocześnie ich rodziców do zaopatrzenia córek w odpowiednią kwotę na „wpisowe”.

Komunikat był zredagowany w stylu „apelowym”, podawał blażęskie cyfry zapotrzebowania na „artystki”, czas i miejsce zbiórki chętnych oraz dodatkowy warunek, iż mają one „ostrzyć sobie głowę do skóry, ponieważ artystki występują w perukach”.

Mimo widocznej, na pierwszy rzut oka, absurdalności tego komunikatu, chętnie się znalazły. Co więcej, sześć dziewcząt nie zawahało się poważnie nadwzruszyć fryzur, byle tylko nie przeoczyć „szansy”. Później, wszystko potoczyło się jak w prawdziwej komedii. Pełnomocnik zaprowadził dziewczęta na stację kolejową, wsadził do pociągu jadącego do Warszawy, polecając im jednocześnie aby zgłosiły się tam do kierownika kina „Mokskwa” — sam zaś czmychnął czym prędzej ze wsi wraz z resztą pieniędzy pozostających z „wpisowego” po odliczeniu należności za przejazd.

Komedia znalazła swój finał na sali sądowej, ale nas w tej chwili interesuje w niej coś innego. Przy całej bowiem absurdalności założenia i połączenia krańcowej naiwności z bezczelnością jaką tu zaobserwowaliśmy — jest ona jakby groteskowym przejawem dość powszechnie występującego zjawiska.

Takie słowa jak „film”, „telewizja”, „kariera”, „sukces”, „gwiazda” — niewątpliwie mają w sobie wiele kuszącego dla młodej dziewczyny czy chłopca. Nie ma w tym nic dziwnego. Nasi dziadkowie pasjonowali się teatrem i często potrafiliby odmówić sobie nawet biletu, byle za kwotę nań przeznaczoną zdobyć билет na „paradyż”, nasi rodzice biegali w młodości do najtańszych kin aby móc wciąż na nowo przeżywać dramaty Rudolfa Valentino czy Asty Nielsen, my mimo protestów tańczyliśmy rock and rolla. Cóż więc w tym dziwnego, że nasi synowie i córki pasjonują się big beatem, kompletują płyty i pocztówki dźwiękowe, wydzierają się grupami i solo „ye ye ye”, obwieszają ściany fotosami rozlicznych gwiazd i gwiazdek. I dopóki nie przekracza to pewnej, trudno dostrzegalnej, granicy — ośmielamy się powiedzieć — wszystko jest w porządku.

Młodzieliż zawsze miała swoje pasje i przemijające mody. Czy zawsze szczytne i rozsądne, to już inna kwestia, ale stare powiedzonko — „wino kipi, póki młode” — ma chyba w sobie ziarno prawdy.

Zdrowa witalność rozwijającego się organizmu, siły żywotne, jak gdyby rozsadzające go od wewnątrz i domagające się ujścia — to nie prosta rzecz!

Ze zbierają fotosy, że znają na wrywki wszystkie najmłodniejsze przeboje, że tańczą tańce będące często połączeniem gimnastyki z niemal że akrobacją, to jeszcze nic złego — ale gdy zaczynają akceptować bez zastrzeżeń styl bycia i życia swoich nie zawsze świetlanych „idealów”, gdy rozpoczyna się niezdrowa fascynacja i głód szczegółów i szczegółików ich kariery oraz skandali oraz chęć naśladowania za wszelką cenę — o, to już problem w całej okazałości.

Gdy Johnny Hallyday przyjechał do Polski i „wstawił” się pijacką burdą w krakowskiej restauracji część młodzieży przyjęła to z niesmakiem. Przypomniano sprawę ojca Hallydaya, który przybył piechotą na występ syna, ponieważ jego zarobki jako pomywacza naczyń nie wystarczyły widać na jakiś środek lokomocji, a na pomoc ze strony piosenkarza nie miał co liczyć. — Jednakże znaleźli się i tacy, którzy krakowski „wyczyn” Johnny’ego przyjęli jako jeszcze jeden objaw jego „fajności” i skomentowali go słowami: — Co mu tam, stać go na to! Jeden występ i może następną restaurację rozwałać. Ten to zarabiał! —

Bitelsi ze zwykłego, nieznanego nikomu zespołu, urosli na gwiazdy w światowej skali. Tacy sami chłopcy, jak my! — myśli wielu. Czym się różnili od innych? — Chyba tylko włosami. Nasi rodzimi bitelsi zapuszczają więc włosy, wszędzie gdzie mogą demonstrować swoiste „ye, ye, ye”, i... czekają na szansę.

Szansa — w ich pojęciu, to cudowny traf, który pozwoli bez wielkiego nakładu pracy, bez żadnej nauki, po prostu ot „tak z siebie” zabłysnąć, wybić się, zrobić karierę.

Kariera — to stan błogości absolutnej. W pierwszym rzędzie mnóstwo pieniędzy, własny super-

samochód, sława, tłumy wielbicielek i obrazek jak z zachodniego filmu: — W pięknym parku, na brzegu wielkiego basenu niski stołek, leżaki. Na stoliku, pod pasiastym parasolem cała bateria butelek, syfonów, szklanek. Bohater leniwie rozwalony sączy kolorowy napój przez słomkę, a wołko one — w bikini, w topples z rozwianymi włosami. Nad tym wszystkim słońce i zwycięska melodia aktualnej piosenki.

Czy kto z nas śmiałyby powiedzieć, że pani Stefania Woytowicz nie zrobiła kariery i nie osiągnęła wybitnych sukcesów. Oczywiście trudno byłoby takiego kogoś znaleźć. Ale podczas jej wizyty w „Tele-Echu”, pewna część młodzieży wzruszała ramionami. Bo i cóż to za kariera, gdy trzeba za nią płacić tak ciężką i wyczerpującą pracę? Słowa p. Woytowicz o przygotowaniach do występów nawet podczas podróży, o stałej systematycznej pracy i... kondycji fizycznej jaką trzeba posiadać by podolać trudom tournée, burzyły w umysłach mit łatwej kariery i jakoś nie „pasowały” do wymyślanego obrazka „słodkiego życia”.

Takie nazwiska jak Stefania Woytowicz, Bogna Sokorska czy Wanda Wilkomirska nie kojarzą się z typem ośniewajaco uśmiechniętej gwiazdy, rozpartej w najmłodniejszej limuzynie — choć są prawdziwym przykładem artyzmu najwyższej klasy opartego na wielkim talencie, wyszlifowanego latami studiów i stałą, systematyczną, ciężką pracą.

Nie o takim życiu jednak marzyły „artystki” z naszej opowieści, czy też te inne, które zaspokajają aktorów, redakcje i wszelkie instytucje kulturalne i rozrywkowe listami w rodzaju: „Jestem błędynką, mam talet i sex. Chciałabym zostać artystką”.

W ich pojęciu bowiem słowo to oznacza, jakby wrota do wymyślanej krainy wszelkich możliwości, gdzie nie trzeba nic uczyć się ni pracować, lecz jedynie jakoś bardziej nieokreślenie „blyszcząc” i zbierać za to „blyszczanie” — „kupę forsy”.

Słowa „praca”, „wysiłek” jakoś do tego nie pasują. Śpiew, taniec, to przecież przyjemność i trudny pojąć, że dla rozrywki innych, aktor czy piosenkarz musi, dostojnie „ciężko” pracować.

I chyba tutaj leży ta niedostrzegalna granica, nad którą warto się zastanowić. Płyty, piosenki, taniec — to rzecz piękna i słuszną jako praca sama w sobie lub rozrywka, ale przy jednoczesnej nauce i to dobrej nauce, a nie zamiast.

Jakże łatwo bowiem stracić te proporcje na rzecz fascynacji łatwością sukcesu, który spada rzekomo sam z nieba bez wysiłków, trzeba tylko umieć dostrzec moment: kiedy.

Na przykład Zuzanna. Zuzanna tańczy w szkolnym zespole. Tańczy bardzo dobrze, wybija się, jest prawdziwą ozdobą szkolnych i pozaszkolnych uroczystości. Nie umie jednak gospodarzyć czasem, którego nie starcza często na odrobienie lekcji. W IX klasie było jeszcze jako tako. Mama pilnowała i powtarzała aż do znużenia, że taniec nie usprawiedliwia „dwójki”. W tym roku jednak jest nieco inaczej. Mama, ku radości Zuzanny, przekonała się do tańca. Miło jej było widzieć swą jedynaczkę na scenie i słuchać komplementów. Poblążliwiej więc patrzyła na coraz to późniejszą powroty Zuzanny do domu i wystarcza jej słowo: „próba”. Uwierzyła, że córka będzie „artystką”, a tego w pojęciu mamy, uczyć się nie trzeba. Sama zaś Zuzanna jest przekonana, że szkoła i nauczyciele nie mogą „skrzywdzić” swej najlepszej solistki. Liczy więc na poblążliwość i mimo pewnych alarmujących sygnałów ze strony wychowawczyń wciąż jeszcze nie zabiera się solidnie do nauki. Te dwie „dwójki” to przypadek, białostka, którą łatwo da się kiedyś odrobić.

Zasmakowała ponadto w atmosferze podziwu, ba swoistego uwielbienia ze strony swoich kolegów i koleżanek. W tej atmosferze wszystko wydaje się do osiągnięcia, a etykiетка „nasza artystka” czymś tak oczywistym jak własne imię. Powoli Zuzanna zaczyna też lekceważyć i próby. Ona przecież i tak to potrafi, a paplanie w kawiarni w gronie przypadkowych znajomych, którzy z czasem stali się własną najbliższą „paczką” jest czymś bardziej atrakcyjnym niż uwagi, których nie szczędzi „mimo talentu” opiekun zespołu.

Chyba sytuacja powyższa jest jak najbardziej symptomatyczna i najwyższy czas aby w nią wkroczyć. Na szczęście nic się jeszcze nie stało. „dwójki” rzeczywistość są do odrobienia, — ale czy Zuzanna nie zaczyna właśnie przekraczać granicy dzielącej przy od zamiast. Jej zdolności i zainteresowania przy systematycznej nauce to rzeczywiście powód do radości, ale oto zarysowała się niebezpieczna możliwość, że Zuzanna uwierzy w łatwość sukcesu, że lekceważy znaczenie pracy gdy skończy się zabawa i cóż wtedy?

Nie lekceważmy więc małych sygnałów, gdy chodzi o nasze dzieci i budujmy i zabezpieczajmy zawczasu tamy — aby to, co z początku uchodziło naszej uwadze i nie budzi niepokoju nie zamieniło się z naszej winy w rozhułkaną rzekę niosącą zniszczenie wszystkich swoich i naszych nadziei.

HABER



Nie od razu wyszedł ze swymi przemówieniami na miasto, na rynek czy ludne ulice — jak to powinien uczynić prawdziwy prorok. W owych czasach istniał tylko jeden sposób bezpośredniego przekazywania swoich myśli słuchaczom: należało wdrapać się na jakiś kamień lub odwróconą kadtę i w pięknych słowach, najlepiej wierszem, wygłosić coś w rodzaju kazania.

Mahomet nie miał na to jeszcze dość odwagi: nie wierzył w swoją umiejętność recytowania. Nauki swe, o których szerzej powiemy za chwilę, wygłasza na razie we własnym domu. O potrzebie wyznawania nowej religii przekonuje najpierw swoją żonę Chadidżę, kuzyną Alego i niewolnika Zeida. Czasem rozmawia z kimś spoza grona domowników, ale ostrożnie dobiera osoby rozmówców — boi się jeszcze zdrady i prześladowań. Później, stopniowo rozszerza krąg swoich słuchaczy. Zbiera się w jego domu kilka znakomitych osobistości, między innymi bogaty bankier Abu Bakr, ale najchętniej słuchają go ludzie prości, rzemieślnicy, tragarze, poganiacze wielbłądów i wreszcie niewolnicy — ci wszyscy uciśnieni i prześladowani, którzy zawsze tak bardzo pragnęli słów pociechy. Allah, wobec którego wszyscy są równi i który traktuje ludzi nie według majątku czy narodowości, lecz według uczynków — to właśnie owa wyczekiwana pociecha. Tworzy się tutaj, w domu Mahometa, pierwsza społeczność wyznawców islamu.

Dopiero po trzech latach tego na pół tajnego nauczania Mahomet nabiera zaufania we własne siły i wstępuje na jakiś kamień w najważniejszym punkcie miasta — na placu przed świątynią Kaaba.

— Islam — mówi Mahomet — to poddanie się woli Allacha. My, wszyscy ludzie, jesteśmy jego dziećmi, wszyscy jesteśmy równi wobec jego woli i potęgi. Życie jest jak gdyby karawaną dążącą na tamten świat: my postępujemy w tej karawanie, nikt z nas nie uniknie śmierci. Dlatego powinniśmy sobie nawzajem pomagać, ułatwiać życie, a jeśli udało się nam zgromadzić bogactwa, część z nich oddać winniśmy biednym. Nikt z nas nie może wynosić się nad innych. Naszym prawem niechaj będzie braterstwo. Niewolników należy obdarzyć wolnością, bo to także ludzie, dzieci jedyne Allacha!

W ten sposób potrafił Mahomet przemawiać całymi godzinami. Każdego dnia poruszał jakiś nowy temat, wyjaśniał nowe sprawy. Ganił rozluźnienie obyczajów wśród bogaczy, zaniedbywanie obowiązków względem słabszych, potępiał bałwochwalstwo. Mówił wierszem — nie rymowanym, lecz zdaniem, które układały się w pewne rymy, jak w starych poematach arabskich. Żeby porwać słuchaczy, mówił obrazowo, z wielką zręcznością kreślił wizje tego, co ludzi czeka po śmierci — ludzi dobrych bądź złych.

Niektórzy słuchacze, urzeczeni pięknem i siłą słów Mahometa, notowali jego przemówienia na liściach palmowych, kawałkach wygładzonych kości lub wyprawionej skóry. Notatki te później między sobą porównywali, uzupełniali brakujące fragmenty, całość przepisywali w wielu kopiach. Każda mowa Mahometa stanowiła osobną całość — nazwano je „surami”. W kilka lat po śmierci proroka, wszystkie sury zostały zebrane w jednej księdze zwanej „Koranem”, czyli właśnie „Recytacją”.

Na razie jednak zwolennicy Mahometa ukrywają spisane sury gdzieś po kątach, kopie przenoszą pod burnusami: boją się prześladowań. Z czyjej strony? Kogo może drażnić nauka Mahometa i dlaczego?

Już najbliższe dni dadzą na to odpowiedź!

Mekką rządził podówczas potężny ród Korejszytów, bogatych kupców i bankierów. Ich domy, najokazalsze w mieście, okolone murami niby fortece, ciągnęły się pierścieniem wokół świątyni Kaaba, tworząc najbardziej reprezentacyjną dzielnicę. Korejszyci zrazu zlekceważyli nowego proroka; niechaj tam sobie przemawia do nędzarzy — nie on pierwszy i nie ostatni próbuje ich pocieszyć wizją lepszego życia po śmierci. Ale raz i drugi któryś z Korejszytów przystanął na chwilę, aby posłuchać Mahometa osobiście i zadrżał ze zgrozy. Już nie tylko o raj i piekle prorok rozprawiał, ale wzywał do walki o sprawiedliwość dla wszystkich, tutaj, na ziemi, w Mekce. Nie tego już za wiele! To przecież narusza istniejący od lat porządek! Mahomet nie jest zatem jednym z wielu hanifów, nieszkodliwych fantastów, lecz po prostu buntownikiem. Rozpuszczenie niewolników oznaczałoby przecież stratę dla każdego korejszyckiego domu, zaś obalenie bożków stojących przed świątynią Kaaba — bo i do tego Mahomet podzegał — sprawi, że obrażeni cudzoziemcy, czciciele tych bożków, będą z dala omijać Mekkę i wieść swoje towary do innych miast; ucierpi na tym handel miejscowy, a przede wszystkim oni, Korejszyci.

Pewnego dnia Korejszyci zebraли się na naradę. Co począć z owym Mahometem?

— Trzeba go wypędzić z miasta — mówili niektórzy.

Inni mieli jednak wątpliwości, czy tak właśnie należy postąpić.

— A jeśli on ma rację? Jeśli rzeczywiście istnieje wielki Allah, jedyny Bóg wszystkich ludzi?

Zapadło głuche milczenie. Ludzie bogaci bywają najczęściej tchórzliwi, mają bowiem wiele do stracenia i żyją w ciągłej obawie o majątek i wpływy. Co się z nimi stanie, jeśli narażą się Allahowi atakując jego proroka? Lepiej nie myśleć.

Być może w ogóle daliby tej sprawie spokój, gdyby nie czyjaś uwaga, rzucona w głębokiej ciszy:

— Jeżeli Allah istnieje naprawdę, dlaczego powołał na swego proroka jakiegoś poganiacza wielbłądów, a nie jednego z nas, Korejszytów? Wszakże my, Korejszyci, jesteśmy najgodniejszymi obywatelami tego miasta! Jest to fałszywy bóg, więc i fałszywy jego prorok.

To jedno zdanie przeważało szalę. Zagrała duma możnego rodu, który nie wyobrażał sobie, iż ktoś spoza jego kręgu mógłby się na-



PIERWSZY TRIUMF

I PIERWSZA KŁĘSKA

dawać do przeprowadzenia jakichkolwiek zmian w ustalonym porządku życia mieszkańców Mekki.

Trzeba więc Mahometowi zamknąć usta, najlepiej po prostu go zgładzić.

Ale tu wyloniły się znowu inne obawy. Mahomet należy do znacznego rodu Haszymitów i ci na pewno chcieliby go pomścić. Wiadomo, że Arabowie bardzo sobie cenią więź rodzinną; uczucia takie wyrobiła w nich wielowiekowa wędrówka po bezdrożach pustyni, kiedy to każdy ród trzymał się w osobnej grupie i wspólnie walczył z okrutną przyrodą. Teraz Haszymici — jakkolwiek nie mieli zamiaru przyjmować nauki Mahometa, bo także byli kupcami, przysięgli jakoby na własne brody, że nie dadzą nikomu skrzywdzić „swojego” proroka. Na razie więc nie należy go zabijać, trzeba zastosować inne sposoby...

Korejszyci, hojnie płacąc złotem, mieli na swoich usługach wszelkich rzeźmieszków i awanturników. Już następnego dnia przekupiona hałastra ruszyła na plac przed świątynią Kaaba. Przechodzącego Mahometa szarpano za włosy, za ubranie, miotano nań wymyślne obelgi. Za garść monet jacyś „poeci” wygłaszali złośliwe wierszyki o fałszywym proroku i jego rodzinie. Gdy zaczął przemawiać na placu, posypały się na niego kamienie. Na drogach wiodących do Mekki wystawili Korejszyci swoich ludzi, by ostrzegali cudzoziemców przed „niebezpiecznym szaleńcem”.

Ale to, co spotkało samego Mahometa, było jeszcze fraszką w porównaniu z okrucieństwami, jakie spadły na jego wyznawców wywodzących się z miejskiej biedoty, a zwłaszcza na niewolników. Tu Korejszyci nie krępowali się niczym; wtrącali nieszczęsnych do więzienia, kazali ich bicować, skrupowanych układać na palącym słońcu pustyni, zabijając.

Niektórzy muzułmanie — bo tak nazwali siebie wyznawcy islamu — nie wytrzymali prześladowań. W obawie przed korejszycką nagonką zaczęli ukradkiem opuszczać miasto. Część z nich uciekła do Abisynii, a to jeszcze pogorszyło ich sprawę. Król abisyński, który od dawna ostrzył sobie zęby na Mekkę i jej bogactwa, teraz zaczął udawać obrońcę uciśnionych muzułmanów i zapowiedział wojenną wyprawę na to „niehumanitarne” miasto. Proszę, oto zdrajcy! — mówili Korejszyci o muzułmanach. — Sprzymierzili się z wrogiem wszystkich Arabów.

Prześladowania jeszcze się wzmogły. Mahomet nie miał już wyjścia; zebrał grupę najwierniejszych wyznawców i wyprowadził ich z miasta.

Pochód bezbronných i zastraszonych głosicieli nowej religii ruszył przez piaski Arabii. Nękały ich głód i pragnienie. Po wielu dniach nużącej wędrówki osiedlili się w kilku jałowych oazach i tu wieść począł smutny, beznadziejny żywot. Mahomet przeżywał żórtkę, zanosiło się bowiem na całkowitą klęskę islamu. Nie był już najmłodszy, dobiegał pięćdziesiątki, wielu innych wybitnych przywódców miało już w tym wieku dzieło swego życia poza sobą. Znowu począł spędzać samotne noce w grotach górskich. „Czyżbym się pomylił? — rozmyślał gorzko. Może w istocie nie ukazał mi się archanioł Gabriel, lecz złośliwy dżin, który przybrał anielską postać? Gdzież jest Allah, który kazał mi walczyć o swoją sprawę?”

Nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni w dziejach świata przywódca przeżywał podobne chwile rozgoryczenia. Dzieło, w które wkładał tyle serca, zdawało się walić w gruzy.

Fragment z książki M. Azembskiego pt. „Pod sztandarami proroka”

Dziecko — już mieszkaniec, obywatel i już człowiek. Nie dopiero będzie, a już Dziecko ma dawność i przeszłość. Wspomnienia i pamiątki. Lata dziecięce — to życie rzeczywiste, nie zapowiedź. Radość i ból są prawdą, nie urojeniem. Dziecko rozgląda się, cieszy, dziwi, niepokoi. Świat piękny, pełen radosnych niespodzianek i dziwnych zwycięstw. Ale nie tylko słoneczny i ciepły, pogodny i barwny. Bo i twardy, surowy, podstępny, okrutny". — JANUSZ KORCZAK.



lorowych klocków. Schludnie ubrany, czysty, zajęty ciekawą zabawą sprawia wrażenie miłego, spokojnego chłopca. Jakże jest inny teraz niż wówczas, przed dwoma miesiącami, gdy wychudzonego, obdartego i brudnego przyprowadził milicjant za rękę. Mały uciekinier. Ale nie głód wrażeń, nie zamilowanie do włóczki, ciekawość świata wypędziły go z domu. Strach, lęk przed własnym ojcem, wielka dziecięca desperacja spowodowała, że nie wytrzymał — uciekł. Przed codziennymi awanturami w domu, przed krzykiem matki i młodszymi 2 siostrami, bitych czym popadło przez ojca alkoholika, przed razami, które spadały i na jego wątłe ciało. Z jaką gorzką dojrzałością opowiadał swemu opiekunowi w Pogotowiu: moja mama jest dobra i chciała, żeby było dobrze w domu. Prała nam, gotowała zupy i robiła wszystko. Ale nie chciała, żeby tato pił i nie chciała dawać mu pieniędzy na wino, bo nie byłoby dla nas na życie. To wtedy tato robił się straszny. Wszystko rąbał, tłukł i bił wszystkich w domu. Ja wtedy leciałem na milicję, żeby przyszedli. Najpierw przychodzili, a potem to nawet jak kłęczałem przed milicjantem to już nie chciał przychodzić, bo to powtarzało się codziennie.

Ojciec chłopca, nigdzie nie pracujący 34-letni mężczyzna, leczony był w Zakładzie Zamkniętym dla Alkoholików. Pomogło na 2 miesiące. A potem koledzy, okazja i wszystko zaczęło się od nowa.



Gimnastyka korek

na gruźlicę przed kilkoma laty. Matka ich systematycznie uciekała od dzieci do różnych przypadkowych mężczyzn. Często nie było jej nawet pół roku. Oglupiała z głodu, strachu i zimna dzieci szukały czasem schronienia u sąsiadów. Zupełnie nie chodziły do szkoły. Gdy jednak matka dowiedziała się, że ktoś chce się zaopiekować dziewczynkami, oddać je pod opiekę państwu wracała, zostawała 2—3 miesiące, a gdy sprawa ucichła, znowu uciekała zostawiając dzieci bez grosza i kawałka chleba. Taka sytuacja trwała lata. Skończyła się

CZEKAM NA CIEBIE, MAMO...

Gmach Państwowego Pogotowia Opiekuńczego w Michalinie — dzieci pracują nad uprządkowaniem terenu.



wyrokiem, skazującym matkę za pozbawienie dzieci opieki na 2 lata więzienia i umieszczeniem dziewczynek w Państwowym Pogotowiu Opiekuńczym.

Mizernego 4-letniego Marka — panięskie dziecko 18-letniej Barbary K. — znalazł milicjant błąkający się w lesie koło Ostrołęki. Dziecko zupełnie nie znało swego nazwiska, ani miejsca zamieszkania. Umiało tylko powiedzieć, że matka kazała mu czekać koło lasu, a sama gdzieś poszła. Spłakany, głodny chłopczyk szukał jej kilka godzin i niestety nie znalazł. Matkę Marka znalazła milicja. Przyznała się, że porzuciła chłopca, ponieważ trafia się jej wyjść za mąż i nie chciała, by jej narzeczony wiedział, że ma dziecko. Z dzieciakiem nie wzięłyby mnie — tłumaczyła obojętnie, bez cienia

Lekcja rysunków — nie powstają tu arcydzieła, ale skupienie na twarzach dzieci świadczy o ogromnym zainteresowaniu przedmiotem.



Michalin k/Otwocka to ładna podwarszawska miejscowość letniskowa. Tu otoczony zewsząd pięknym sosnowym lasem wyróżnia się nowoczesnością i bielą na tle zieleni okazały gmach Państwowego Pogotowia Opiekuńczego. Gmach ten o łącznej kubaturze 14 tys. m³ zbudowano przed dwoma laty za sumę 11 mln zł. dla dzieci z terenu województwa warszawskiego — sierot i pólsierot, dzieci opuszczonych przez rodziców, dzieci z rodzin zdeprawowanych, zagrożone moralnie, zaniedbane wychowawczo.

W czasie badania lekarskiego, już tu w Pogotowiu, okazało się, że Janek cierpi na ogólną nerwicę. Nie sypiał po nocach, nie mógł się uczyć. Uspokoił się dopiero na wieść, że ojciec za jakąś bójkę dostał się do więzienia, gdy do Pogotowia przyprowadzono jego dwie siostrzyczki. Matka poszła do szpitala. Urodziła syna. Dziewczynkami zupełnie nie miał się kto zająć. Dziś cała trójka wraca do równowagi w nowych, także innych warunkach.

12-letnią Halinkę R. i jej młodszą siostrę Zosię skierowało do Pogotowia Kuratorium Okręgu Szkolnego Warszawskiego na wniosek kierownika szkoły w G. Dziewczynki od lat żyły dosłownie z łaski sąsiadów, w starej, rozwalającej się szopie, zupełnie pozbawione opieki. Ojciec dziewczynek zmarł

10-letni Janek B. blondynek o smutnych, niebieskich oczach buduje duży pałac z ko-



na w grupie dziewcząt

skruchy. Marek znalazł odpowiednią opiekę. Matka płaci co miesiąc kilkaset złotych za jego pobyt w Państwowym Pogotowiu Opiekuńczym w Michalinie.

Każde dziecko, które tu przebywa, a jest ich wszystkich 120 w wieku od 3 do 18 lat z całego województwa, przyniosło ze sobą jakiś rodzinny dramat, jakąś wielką tragedię. Tylko około 30% tych dzieci znalazło się w trudnych, życiowych warunkach z powodu ciężkiej choroby, czy śmierci rodziców. Ogromna większość to ofiary lek-



Przy Pogotowiu znajduje się szkoła wyposażona m. in. w gabinet fizyczny. Posługując się tymi przyrządami łatwo samemu sprawdzić działanie praw i reguł fizycznych.



Pokój do gier i zabaw jak zawsze pełny.

komyślności, bezdusznosci, wyniszczających nałogów, najczęściej alkoholizmu ojca, a często i matki. Świadcowie gorszących scen erotycznych oraz bójek. Mali rozjemcy, którzy rzucali się na rozjuszonego, pijanego ojca z krzykiem — nie bij mamy. Takie przeżycia zostawia ślad na całe życie. 13-letnia Marysia K. już nigdy nie będzie szczęśliwa. Najszczęśliwsze nawet chwile jej życia mać był będzie bowiem przerażający widok matki zamordowanej bestialsko przez ojca — notorycznego pijaka.

W Państwowym Pogotowiu Opiekuńczym wszystkie te głęboko nieszczęśliwe, skrzywdzone dzieci poznają inne, formalne, lepsze życie. Czyste, jasne i ciepłe pokoiki, świetlice pełne zabawek i gier, regularne obfite posiłki, dobrze zorganizowana zabawa i co najistotniejsze: opieka i wręcz macierzyńska troskliwość wychowawców — oto leki przywracające zdrowie fizyczne i psychiczne, wiara w to, że są komuś potrzebne, nadzieję na lepsze życie. Tutaj te zaniedbane pod

każdym względem dzieci uczą się podstawowych zasad współżycia społecznego. Wdrażają do regularnej nauki w szkole, która jest na miejscu, nabierają nawyków porządkowych, same bowiem sprzątają swoje pokoje, uczą się przestrzegania higieny osobistej, umiejętności zachowania się w Państwowym Pogotowiu Opiekuńczym każde dziecko przebywa przeciętnie 3 miesiące. W tym czasie jest bacznie obserwowane przez lekarza, psychologa, wychowawcę. Od wyników tych obserwacji uzależniony jest dalszy los dziecka. Pogotowie jest bowiem placówką jak gdyby selekcyjną. Większość dzieci po tym 3-miesięcznym pobycie kierowana jest do domów dziecka. Młodsze do domów małego dziecka. Dzieci z zaburzeniami rozwojowymi znajdują miejsce w szkołach specjalnych z internatami. Zaniedbane moralnie, wymagające specjalnej opieki wychowawczej przesyłane są do zakładów wychowawczych. Zdemoralizowane, wykazujące niepokojące tendencje chuligańskie — do zakładów poprawczych.

Tych przypadków jest jednak stosunkowo mało. Oczywiście rozstanie z wychowawcami, z kolegami po trzech miesiącach normalnego, dobrego życia jest dla tych wrażliwych dzieci koniecznością niezmiernie przykłą, do której długo muszą przygotowywać dziecko przezorni wychowawcy.

Gdy zwiedzałam Państwowe Pogotowie Opiekuńcze w Michalinie trafiłam na wzruszającą scenę. Do dwojga dzieci przyszedł z wizytą dziadek i matka. Na widok bliskich dzieci jak oszalałe zbiegły ze schodów i dosłownie rzuciły się w ich ramiona. Ale oto po chwili mały pokoił wizyt wypełnił się po brzegi kilkuletnimi malcami. Tłoczyły się wokół przybyszów, zaglądały do toreb, chociaż głodne nie były, odeszły dopiero od dobrego obiadu. Poglaskałam od ruchu pierwszą z brzegu główkę. Za chwileczkę zbiły się wokół mnie ciasnym kołem. Podnosiły twarzyczki wyczekująco i poważnie.

Małe, najdotkliwiej skrzywdzone przez zły los, a często przez najbliższych, istoty! Możemy dać im wszystko. Znakomite warunki, świetną opiekę, ciekawe zabawki, serdecznych wychowawców — rzucają wszystko na magiczny dźwięk słowa... mama. Zawsze będą spragnione miłości na wyłączny, absolutnie swój użytek. Zawsze z nadzieją, uwieszone u okien, czekać będą na drogą twarz kogoś bliskiego — matki, ojca, brata. Niestety jakże często oczekiwania te są daremne.

KATARZYNA RITT

Najmilsze jednak są odwiedziny mamy...



ZE WSPOMNIEN OKUPACYJNYCH

Nawet te konspiracyjne organizacje podziemne, które były w stałej zależności od ZWZ, a później AK, nie były jednakowo traktowane przez władze Polski podziemnej. Na taki stan składały się różne czynniki, nie zawsze natury obiektywnej, często odgrywał tu rolę normalny protekcjonizm.

Szefowie ZWZ rozumieli, że swój monopol na robotę wojskową w kraju zapewnią sobie jedynie wtedy, kiedy obok dowódczej kadry zawodowych oficerów, podporządkują swej komendzie młode pokolenie konspiracyjne, powstające poza formami organizacyjnymi stronnictw politycznych. W ówczesnych warunkach takim środowiskiem młodzieży byli tylko harcerze zrzeszeni w męskiej organizacji Szare Szeregi i żeńskiej Organizacji Harcererek (Pogotowia Harcererek) występującej również pod kryptonimem „Bądź Gotów”. Wprawdzie endecja i różne frakcje ONR stworzyły własne oddziały harcerskie afiliowane później przy NSZ pod nazwą Hufce Polskie, ale HP na ogół były nieliczne. Do lata 1942 r. przewodniczącym Szarych Szeregów był ksiądz Jan Mauersberger a po nim dr Tadeusz Kupczyński. Komendantką Organizacji Harcererek (Pogotowia Harcererek) była Józefina Łapińska. Naczelnikiem harcerzy był Florian Marciniak, pseudonim „Nowak” i J. Krzemień. Szefem Głównej Kwatery o kryptonimie „Pasieka”, był Eugeniusz Stasiński, pseudonimy: „Piotr”, „Pomian”, „Poleski”.

Powiązanie Szarych Szeregów z ZWZ, a później całkowicie wcielenie ich do AK w dniu 17 stycznia 1943 roku wpłynęło również na niepraktykowany dotychczas sposób honorowania tych oddziałów. Pozwolono im nie tylko na pełną autonomię ideowo-wychowawczą, lecz także stworzono dla nich specjalną podchorążówkę pod nazwą Agrikola, gdzie na jednym turnusie trwającym sześć miesięcy przeszkalano ponad dwustu podchorążych-harcerzy.

Harcerzom przypadły rychło w udziale najbardziej eksponowane zadania w dywersji i partyzantce. Stali się beniaminkami Sztabu AK, posiadali własne odznaki podchorążackie; Szare Szeregi przerodziły się szybko w elitarne oddziały, odcinające się wyraźnie od reszty liniowych zespołów. Byli w AK ekskluzywnymi zespołami, co oczywiście nie mogło się spotkać z powszechną sympatią i uznaniem.

Kiedy w listopadzie 1942 roku powstawały specjalne oddziały Kierownictwa Dywersji (Kedyw), oparto je na harcerzach. Im też powierzono przeprowadzenie akcji odwetowej na Zamojszczyźnie w noc sylwestrową 1942/43 pod Krasnobrodem. Z Szarych Szeregów rekrutowali się również żołnierze Kompanii Warszawskiej, która pod dowództwem kapitana Zegoty wyruszyła jako pierwszy oddział warszawskiej AK do partyzantki na Lubelszczyźnie w styczniu 1943 roku.

Z tej racji, że Kedyw składał się z ludzi Szarych Szeregów, oni byli oczkiem w głowie zarówno Rudzkiego, jak Nila i Radosława. Ze swej ekskluzywności Szare Szeregi zrobiły wyjątek tylko jeden raz w stosunku do organizacji PET, z której wyszli późniejsi dowódcy batalionu „Parasol” i zamachowcy na Kutschera i Koppego, jak Broniek-Lot Rafał, Jeremi, Ali i Kruszyńska. Ustępstwa na rzecz PET-u dokonano jedynie dlatego, że PET-owcy prowadzą na terenie Warszawy Mały Sabotaż równoległe do harcerskiego Wawra, mieli nie mniejsze sukcesy od tego ostatniego. Ale i PET-owców najpierw w jesieni 1942 roku przyjęto do Grup Szturmowych i dopiero poprzez te Grupy dopuszczono do dywersyjnych zadań Szarych Szeregów.

Z czelowymi dowódcami grup dywersyjnych Szarych Szeregów zetknąłem się od razu po akcji pod Arsenalem na gruncie pracy Roju. Mianowicie od stycznia 1943 roku postanowiliśmy w Roju gromadzić materiał dokumentalny z bojowych występów AK dla potrzeb propagandy mobilizacyjnej. Dla tych zadań wytypowaliśmy specjalny lokal kontaktowy na Pięknej przylegający do budynku Urzędu Telefonów Miejskich. Wprawdzie samo mieszkanie było ciemne, bo na parterze i w drugim podwórku od ulicy, pokoiki małenki, ale za to dobrze można było je ubezpieczyć. Jak twierdziła Julia „mordercy” — takim mianem określała zaw-

AKOWSKIE BENIAMINKI

sze ludzi z dywersji i oddziałów likwidacyjnych AK — nigdy nie przychodził na kontakty obce (pozdyswersyjne) bez ubezpieczenia lokalu. Fakt, że swoich pupilów osobiście pilotowali albo Lipiński albo Radosław, tezę Juli czynił bardzo prawdopodobną. Do kontaktów powyższego typu z ramienia Roju byli wyznaczeni poza mną jedni i ci sami ludzie. Byli to: Ewa, Pawłecz, Zygmunt i Jaskółski. Wszyscy oni równocześnie spisywali ustne relacje dowódców poszczególnych akcji bojowych i to w wersji najbardziej autentycznej. Mieli też prawo zadawania najbardziej dociekliwych pytań, nieraz kłopotliwych i nie zawsze świadczących o pozytywnych cechach dowódcy, czy akcji przez nich przeprowadzonej. Obecność Lipińskiego lub Radosława gwarantowała obiektywną prawdę i dokumentalną wartość owych meldunków, opartych nie tylko na ustnej opowieści, ale i na szczegółowych szkicach bojowych i zdobytych dokumentach na wrogu. Na ścisłości i wierności tych relacji zależało nam dlatego, że po pierwsze — zdobyte tą drogą materiały szły w odpisie do archiwum Wojskowego Biura Historycznego działającego przy BIP Komendy Głównej i kierowanego przez Sławskiego, a po drugie wyznawaliśmy w Roju zasadę że propaganda powinna być oparta na konkretnych faktach. Fakty zaś musiały być prawdziwe, komentarze natomiast o tych faktach to już inne zagadnienie. Mogły być one dowolne, uzależnione od potrzeb chwili.

Owoce tej działalności Roju było wydanie dwóch książek:

- 1) Polska karząca — w 1943 roku i
- 2) „W ogniu” — w 1944 roku.

Jest sprawą oczywistą, że w obydwu książkach autentyczne relacje zamieniono na reportaże z akcji bez podawania szczegółów, które mogłyby zdekonspirować ich uczestników lub dostarczyć jakieś cenne wiadomości hitlerowcom.

Jako pierwszy relację z odbicia żołnierzy Wachlarza z więzienia w Pińsku składał Ponury. Ponury był harcerzem i zrzutkiem wyszkolonym do zadań sabotażowo-dywersyjnych w Anglii, a przeryczonym na samolocie do kraju jeszcze w 1942 roku. Przy składaniu nam relacji okazało się, że nie jest to pierwsza jego opowieść. Poza sprawozdaniem dla swych przełożonych w Kedywie złożył podobny meldunek w Pasiece Szarych Szeregów. Zwróciłem Lipińskiemu uwagę na niewłaściwość postępowania Ponurego i kierownictwa Szarych Szeregów, które nie powinno systemem mafijnym otrzymywać nie przeznaczonych dla siebie informacji. Lipiński obiecał sprawę tę wyjaśnić i ukrócić „Szarogęsenie się” harcerzy, gdyż inaczej nie wiadomo, kto właściwie dowodzi Kedywem.

Na początku kwietnia podobną relację składał Komendant Chorągwi Warszawskiej Orsza z akcji pod Arsenalem. Nie miał on tupetu Ponurego, wyszło jednakże na jaw, że akcję pod Arsenalem przeprowadziły Szare Szeregi właściwie na własną rękę, pomimo oporu Komendy Głównej AK, a jedynie za wiedzą Lipińskiego i przy szantażu nikogo innego jak Naczelnika Szarych Szeregów — Nowaka. Był to wyraźny bunt kierownictwa Szarych Szeregów wobec Sztabu AK, który przyjął do wiadomości całą sprawę po fakcie dokonanym. Pomimo, że akcja pod Arsenalem była całkowicie udana i Sztab AK wygrał ją zarówno moralnie jak i politycznie dla swoich celów propagandowych, nie zmienia to jednak faktu, że była ona objawem samowoli i niesubordynacji wojskowej.

Później przysyłaliśmy sprawozdania z likwidacji gestapowców: Schultza, Langego, Būrckla i innych, a pomiędzy nimi relacja Zośki z akcji pod Celestynowem, gdzie odhito więźniarkę z transportem

więźniów z Majdanka do Oświęcimia. Muszę przyznać, że najprytniej i najinteligentniej relacjonowali przygotowania, przebieg walki i odwrót Zośki i Jeremi (z likwidacji Būrckla). Widać było wyraźnie, że są to prawdziwi dowódcy-żołnierze, a nie tylko skauci traktujący swe zadania bojowe czy likwidacyjne jako zdobywanie jeszcze jednej sprawności harcerskiej. Jeremi wywoził się z PET-u, lecz i u Zośki nie było widać żadnego reklamierskiego chwytu gloryfikującego Szare Szeregi, jak to zdarzało się u innych. Traktowali siebie jako oficerów AK, a zadania, które otrzymali do wykonania, jako rozkaz dowództwa wojskowego, a nie organizacji macierzystego pochodzenia.

Przysłuchując się tym relacjom, szczególnie w zakresie wyposażenia w broń, wykwapowania osobistego i świadczeń finansowych na rzecz tych bojowców, nie mogłem opędnąć się wrażeń, że polityka uprzywilejowania jedynie środowiska Szarych Szeregów nie może nie wywołać objawów niezadowolenia i fermentów w innych oddziałach AK. Przekonałem się o tym szybciej niż myślałem i to na własnym podwórku. Rozpoczęło się od Kostka, który był dowódcą Zgrupowania ZOR, przekazanego właśnie przeze mnie w kwietniu do III Rejonu AK na Pradze.

Kostek zażądał rozmowy ze mną, podczas której wygarnął mi całą prawdę o AK. Zarzucił Komendzie Głównej, że wprowadza w Szeregi podział na lepsze i gorsze wojsko i że z Szarych Szeregów robi akowskie oddziały elitarne. Na ten temat wiedziałem więcej niż Kostek i chociaż miał on całkowitą rację, nie mogłem mu jej oficjalnie przyznać, aby nie rozżalać go jeszcze bardziej. Ten jednakże żądał ode mnie stanowczo zapewnienia, że nie tylko Szare Szeregi, lecz i inne liniowe oddziały AK będą kolejno wzywane do zadań dywersyjnych czy partyzanckich. — Przecież — mówił — nie tylko sama sprawiedliwość, ale i kwestia wyszkolenia wymagają systematycznego wciągania do czynnej walki coraz to nowych grup. Nie można opierać się stale na jednym oddziale i jednym i tym samym środowisku. Już teraz harcerze kaperują do swoich oddziałów aktywniejszą młodzież, obiecując im przeszkolenie w podchorążówce i udział w czynnych akcjach. Natomiast u nas na Pradze głucho jeszcze o masowym szkoleniu podchorążych.

Wreszcie Kostek zakomunikował, że jeśli do czerwca nie przejdzie do akcji bojowej, rzuci zgrupowanie, zabiera dwunastu młodych żołnierzy i idzie na własną rękę do partyzantki na Lubelszczyźnie. Stałem się go uspokoić. Na próżno. Był nieustępliwy. Skomunikowałem się z Władysławem. Ten mi mówi, że Zajac, który w Komendzie Głównej ZOR zajmuje się młodzieżą twierdzi, że nie tylko Kostek i jego podchorążowie zazdroszą oddziałom Szarych Szeregów. Podobne objawy wystąpiły i w innych grupach młodzieży. Według niego sprawa Szarych Szeregów i ich przywilejów w AK, to nie główny czynnik buntu i niezadowolenia. Młodzież akowska ma dosyć czekania z bronią u nogi, do której nawoływał „Biuletyn Informacyjny” z 11 lutego 1943 roku. A dzieje się to przede wszystkim z tej przyczyny, iż wie i widzi, że oddziały Gwardii Ludowej PPR, które powstały o wiele później niż ZWZ i AK, nie zamykają się w swych garnizonach, lecz idą do lasu, tworzą partyzantkę i biją hitlerowców w polu, w otwartej walce, najbardziej zrozumiałej dla każdego żołnierza, który konspiracji nie zamierza traktować jako dworcowej bagażowni dla przeleżenia okupacji i wojny lecz czynnie chce zwalczać okupanta.

Samowola Szarych Szeregów w sprawie akcji pod Arsenalem była również protestem przeciwko kilkuletniemu staniu z bronią u nogi. Arsenał zmusił Sztab AK do zmiany frontu w sprawie czynnej walki z Niemcami, co znalazło wyraz znowu na łamach „Biuletynu Informacyjnego” z 1 kwietnia 1943 roku. Propagowano tam nową linię postępowania, tak zwaną walkę ograniczoną, zanim nie wybuchnie powszechne powstanie.

Gwardia Ludowa nie próżnowała i w Warszawie. W październiku 1942 roku oddziały GL obrzuciły granatami redakcję i drukarnię „Nowego Kuriera Warszawskiego” i poczekalnię „nur für Deutsche” na Dworcu Głównym (tak zwanej Mitropy). W listopadzie tegoż roku dokonały wywłaszczenia miliona złotych w KKO. Akty te rewoltowały młodzież AK z jednej strony, a z drugiej zmuszały sztab AK do większej elastyczności i lawirowania na odcinku czynnej walki z Niemcami. Zabiegi te niewiele pomogły. Nie wpłynęły one też na postawę Kostka i jego towarzyszy. Kostek, jak zapowiedział, tak i zrobił. Razem z dwunastu innymi kolegami opuścił Warszawę i udał się pod Kraśnik, gdzie wstąpił do partyzanckiego oddziału Małego. Poszedł po śmierć. Zginął w pierwszej partyzantce oddziału z Niemcami.

ZYGMUNT ZIÓŁEK



Kości były tego dnia życzliwe, Pizarro z lubością dotyka chłodnego metalu w głębokich kieszeniach spodni. Lubi dźwięk złota. Myśli jego są dalekie, krążą hen za morzami, po nieznanym krainach Nowego Świata. Czyjaś koścista dłoń szarpie go bezceremonialnie za ramię. Pizarro ma za sobą dobrą szkołę twardego życia w hultajskiej kompanii. Jest bardzo szybki i zwinny, umie pierwszy uderzyć. Odwraca się. Stoi przed nim jakiś drapichrust, cuchnący podłym winem. Zaciśnięta pięść Pizarra już, już ma w przód wyskoczyć, gdy wtem obwieś pyta:

— Kiedy się urodziłeś?

Francisco sam nie wie, dlaczego odpowiada:

— W 1475 roku.

— W 1475? Niemożliwe, mów prawdę — krzyczy groźnie włóczęga.

Francisco siebie nie poznaje, zwiotczały mu pięści, zgubił zwykłą gwałtowność, mówi omal pokornie:

— Ja nie kłamię. Jako rzekłem.

W zapadłej twarzy łazęgi goreją głęboko osadzone i krwią nabiegłe oczy. Prawie krzyczy:

— Dawaj rękę.

Lewa dłoń Francisca znika w olbrzymich, brudnych i mokrych rękach szalbierza. Chirromanta pochyla się i wbija wzrok w dłoń Pizarra:

— Boże wielki, Boże Abrahamów — mruczy — 1475 rok, toż to wtedy zmarł bapptomnie sławny kondotier Bartolomeo Colleoni. Ty po nim — dorzucą gwałtownie — podejmiesz wypadną buławę.

Wypuszcza dłoń Pizarra i zniżając głos do przejmującego szeptu, dodaje:

— Będziesz większy niż Colleoni. Gwiazda zdobywcy nad tobą. Boże, Boże Abrahamów.

Sztuka złota z hajdawerów Pizarra zmieniła właściciela.

Nad Sewillą zachodzi słońce. Słynna Wieża Złota, skąpana w odblaskach rdzawego horyzontu, zdaje się być naprawdę z drogocennego kruszcu. Za nią, na lewo Wieża Srebrna wystawia białą, cynową kopułę ponad różowe domostwa. Tam znów jakiś pałac, spowity w gąszcz drzew pomarańczowych, wystrzela w górę łupkowe wieżyczki. Żółta we w blaskach zmierzchu, niespokojne wody Gwadalskiwuru, niby drżące zwierciadło, lśnią skierkami opalu, platyny i karminu. Wzdłuż brzegu drzemią przycumowane statki, których maszty wydają się łączyć z gajami na lewym brzegu rzeki. Na prawym lekkie domki dzielnicy Triana schodzą do rzeki, która płynie pod prawie dwukilometrowym mostem i na zakolu uderza o mur zieleni parku Las Delicias. Rozgrzane powietrze nie przyjmuje wilgoci z wody. Gaśnie światło dnia, rozbijając lazur nieba w tysiąc odcieni. Na ziemię sptywa mrok, mącąc kontury rzeczy.

O zmierzchu jeszcze silniej pachnie kwiecie w półtropikalnej atmosferze miasta gwałtownych namiętności. Sewilla nie myśli o spoczynku. Na zdobnych w arkady i fontanny patiach ożywiony wciąż ruch. Słychać smętne tony gitar. Oklaski wtórują wesołym malagueñas i melancholijnym peteneras, śpiewanym pełnym młodzieńczym głosem. W pobliżu słychać radosny gwar dziecięcy — skoczny rytm seguidillas wybijają drobne stopy. W suchym trzasku pateczek uderzanych o małe bębny pojawiają się tancerki. Przechodzą w pozach już to zuchwałych, już to tęsknych i omdlewających, zawsze prowokacyjnych i pełnych obietnic. Narzeczony śpiewa serenadę pod balkonem lubej, dobiega skądś szmer wymienianych pocałunków. Francisco odrywa czoło od żelaznej kraty oddzielającej patio od ulicy i znika w nocy Sewilli.

Noc historii odebrała kilka lat życia Pizarra jego biografom. Starohiszpańskie przysłowie głosi „oñen fue a Sevilla perdio su silla”, co znaczy „kto poszedł do Sewilli, stracił stanowisko”. Nie sprawdziło się ono w przypadku Francisca, ryzykował zresztą niewiele, posadę świnopasa.

I któregoś dnia 1509 roku Pizarro, za dobytek cały mając jeno opończę i szpadę, ładuje na Espanioli.

W. K. OSTERLOFF
(c.d. w następnym numerze)

Bartłomiejowa gadka

Świntuch nie goryl

Od tygodnia moi kochani, siedzę razem z żoną w żelaznej klatce, gryziemy najtańsze jabłka, pijemy wodę i klniemy rok 2100. Zapewne zadziwi was ta wiadomość, współczujecie nam i pytacie, co też właściwie się stało. Nie będę krył. Przeczytaliśmy w pewnym naukowym tygodniku, że w roku 2100 będzie się ludziom świetnie powodziło, bo nauka ułatwi im żywot tu na ziemi. Chodzi oczywiście o tę część ludzi, którzy do tej pory nie przeniosą się na Księżyc, Wenus albo na Mleczną Drogę. Jednym ze sposobów uszczęśliwienia mieszkańców starej Ziemi będzie rozwinięcie przez uczonych inteligencji małp, które po krótkim przeszkoleniu będą wykonywały wszelkie ciężkie i brudne roboty. Ogromnie nam się podobał los potomnych żyjących w małpiej erze i projekt zapędzenia małp do pracy.

— Gdyby tak dożyć tych czasów — westchnąłem.

— Czy koniecznie trzeba dożyć? — rzekła żona przymrużając lewe oko.

Momentalnie zrozumieliśmy się, podjęliśmy z PKO oszczędności. sprzedaliśmy połowę mebli, telewizor, maszyn-

kę do golenia i kupiliśmy sobie w ZOO młodego przystojnego goryla. Szczerze zajęliśmy się jego edukacją.

Po dwu dniach Foto szorował podłogi, po czterech obieirał kartofle i palił w piecu, po sześciu umiał pracować, po dwu tygodniach naprawiał zegarki i rozwiązywał równania drugiego stopnia. Mędrca mieliśmy w domu i wiernego sługę. Żona chciała go wykształcić na astronoma, ale ja się sprzeciwiłem, bo gdyby nauczył się przez lunetę między gwiazdy zaglądać, wtedy nie miałby czasu na czerwanie skarpetek.

Pewnego razu wysłaliśmy Fotusia po zakupy. Nie było go 3 godziny, wreszcie wrócił z klatką na plecach. Zdziwiliśmy się wielce, ale on śmiał się tylko swym małpim uśmiechem i zapraszał nas do klatki. Sądzieliśmy, że Foto chce w klatce zamieszkać i zaczęliśmy przygotowywać mu poślanie. A on raptem — trach. Zatrzasnął klatkę i na drzwiach zawiesił wielgachną kłódkę... Od tej pory więzi nas w klatce, a sam chodzi w moim fraku i lakierkach oraz w najmodniejszym kapeluszu mojej żony. Mało tego, każe mi, żebym go dalej uczył matematyki, fizyki, francuskiego oraz psychologii, oczywiście ludzkiej. Nam też każe się uczyć. Musimy skakać w klatce, wywracać koziółki, robić małpie miny i bezwstydnie drapać się jak szympansy. Postanowił nas więzić dopóty, dopóki nie potrafimy tego wszystkiego, co umie stu procentowa małpa, a on nie potrafi tego, co umie absolut politechniki. Chytry drań. Satrapa, aferzysta, świntuch, nie goryl. A zapowiadał się na ucciwą małpę...

Tak więc, moi drodzy, nie narzekajcie, że rok 2100 jeszcze daleko.

BARTŁOMIEJ OCZKO

Dalekie i bliskie

Dlaczego w czasie snu nie tylko śpimy, ale także śnimy? Jak podaje jedna z gazet amerykańskich, dr. William Dement przedstawił nowe objaśnienie tego problemu. Uczony sądzi, że sny pojawiają się pod działaniem toksyny, którą wytwarza w ciągu dnia centralny układ nerwowy.

Jest to pierwsza próba wytłumaczenia snów działaniem określonego związku chemicznego i odbiega ona od dotychczasowych hipotez na ten temat. W czasie doświadczeń na zwierzętach dr. Dement zgromadził szereg faktów, które zdają się przemawiać za jego koncepcją.

Uczony amerykański, Clark Cameron, wynalazł nowy sposób spania. Cameron radzi spać w wannie wypełnionej dziesięcioprocentowym roztworem soli. Człowiek nie tonie w takiej wodzie, gdyż ma ona większy ciężar właściwy, równy ciężarowi właściwemu naszego ciała. Zanurzony w roztworze, znajdziemy się jakby w stanie utraty ciężaru.

Dzięki krążeniu roztworu ciecz będzie masowała ciało śpiącego w wannie człowieka. Pod względem miękkości łożo wodne nie ma sobie równych. Uczony bowiem twierdzi, że w wannie można doskonale wypaść się w ciągu 3—4 godzin.

Śpiewaczka egipska, Szepenmut, przeszła z dobrym wynikiem ciężką operację kręgosłupa w angielskim mieście Exeter. Operacja trwała półtorej godziny i pozwoliła ustalić diagnozę choroby. Cała rzecz w tym, że operacja dokonana została w 2800 lat po śmierci pacjentki.

Szepenmut śpiewała w świątyni Amona w Tebach, dawnej stolicy górnego Egiptu około 800 lat p.n.e. Obecnie jej mumia znajduje się w muzeum w Exeter.

Badania rentgenologiczne mumii nasunęły profesorowi Uniwersytetu Londyńskiego, dr. Dentowi podejrzenie, że Szepenmut cierpiała za życia na rzadką chorobę, alkaptonurię, powodującą ciężkie zaburzenia przemiany materii. Te właśnie podejrzenia stały się przyczyną operacji usunięcia części kręgosłupa, jaką przeprowadzono w muzeum w Exeter.



Oto pierwsza kartka wyciągnięta z noworocznej poczty redakcyjnej. Pod życzeniami dla zespołu dopisek: „Przed chwilą kupiłem noworoczny numer „Rodziny”. Jestem nim zachwycony. Podpis: Władysław Bielecki — Wrocław.”

Jednomyślnie uznaliśmy to za dobry omen. Przy okazji dziękujemy za życzenia wszystkim naszym Czytelnikom.

Tegoroczny plan emisyjny Poczty Polskiej przewiduje wydanie 14 emisji obejmujących 76 znaczków i 1 blok. Byłoby to o kilkanaście znaczków mniej niż w roku 1966. Ta tendencja Resortu Łączności odpowiada życzeniom środowisk filatelistycznych i sytuacji na międzynarodowym rynku. Wśród zaplanowanych emisji przewiduje się między innymi wydanie serii przedstawiających ryby egzotyczne, rośliny chronione, kwiaty polne, motyle oraz cały szereg znaczków z okazji kongresów i innych uroczystości państwowych. W październiku ukaże się tradycyjny znaczek na „Dzień Znaczków”.



Poczta Wielkiej Brytanii wydała dwa znaczki z okazji Świąt Bożego Narodzenia. Znaczki te zostały wybrane z kilku tysięcy projektów narysowanych przez dzieci. Na jednym znaczku umieszczono bałwanek ulepionego ze śniegu, na drugim „portret” jednego z Trzech Króli. Na każdym ze znaczków umieszczono sylwetkę królowej Elżbiety II. Jak na stosunki angielskie znaczki te odbiegają zasadniczo od dotychczasowego tradycjonalizmu.

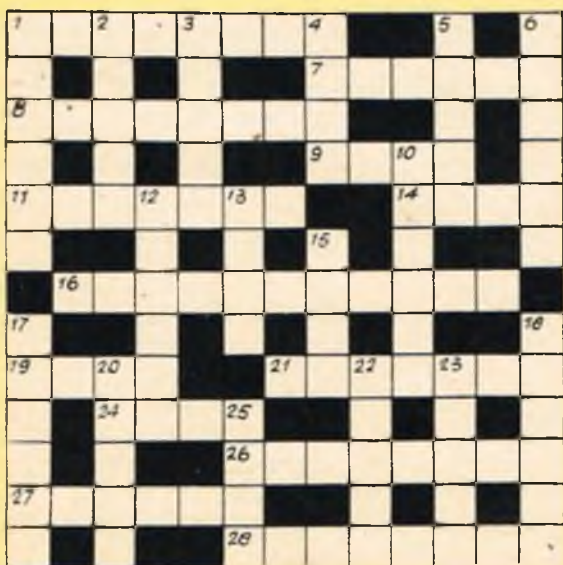
Jubileusz UNICEF (XX I, działalności) znalazł żywe odbicie w filatelistyce. Najbardziej oryginalną emisję wydała poczta ONZ. Na 3 znaczkach przedsta-

wiono symboliczny dziecięcy wesóły pociąg. Znaczki ustawione wg nominałów pokazują lokomotywę i dwa wagony wypełnione dziećmi i podarkami. Autorem projektu jest amerykański grafik Kurt Plowitz.



Wprowadzić do Olimpiady w Meksyku mamy jeszcze sporo czasu, mimo to poczty wielu krajów wydają tzw. „Serie przedolimpijskie”. Zadaniem tych serii jest spopularyzowanie Olimpiady oraz zdobycie funduszy na przygotowanie kadr narodowych. Pierwszą taką emisję wydała poczta meksykańska. Seria składa się z 5 wartości, na których pokazano różne dyscypliny sportowe. Polska wyda w maju podobną serię.

WŁODZIMIERZ G.



KRZYŻÓWKA NR 5

POZIOMO: 1) najwyższy głos w śpiewie, 7) przepisy normujące tryb życia w zakonach, 8) okres upałów, 9) ssak wodny o cennym futrze, 11) miejsce występów artystycznych, 14) wezwanie, zew, 16) wyrażenie współczucia, ubolewania, 19) śpiewak cerkiewny, 21) jednostka podziału terytorialnego w organizacji kościelnej, 24) ostona głowy żużlowca, 26) proces, 27) urządzenie w lesie, 28) bogaczka, kapitalistka.

PIONOWO: 1) akt normatywny mający moc ustawy, rozporządzenie, 2) rodzaj utworu poetyckiego 3) marionetka, 4) przypadek, zdarzenie, 5) sufit, po-

wała, strop, 6) wiejska orkiestra, 10) zabezpieczenie, gwarancja finansowa, 12) umówione spotkanie, 13) część ręki, 15) izba klasztorna, 17) cechuje śmiałka, 18) reguła, prawidło, 20) zorganizowane działanie, 22) miasto powiatowe w woj. bydgoskim, 23) filut, szalbierz, 25) półwysep radziecki na Morzu Czarnym.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem: „Krzyżówka nr 5”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowana zostanie nagroda: b u d z i k.



NASZA RODZINKA

Rakiety

Śnieg dziś pada od rana.
A dla kogo? A dla nas.
Sypie kopce wzdłuż ścieżki
na bałwany, na śnieżki,
A ja pomyśl mam nowy:
loty rakiet śniegowych.

Oto słup przy parkanie,
śnieżna kula tkwi na nim.
Ale łatwo uwierzyć
że to przecież jest księżyc
i że świeci z daleka,
na człowieka wciąż czeka.

Lecą śnieżki — rakiety
do śniegowej planety,
każda z pióra ma ogon —
pióra w locie pomoga.

Pierwszy pojazd Sewerka
spłoszył wrony na świerkach.
Jacka — zboczył z orbity,
leży w śniegu rozbity.
Trzeci nagle zabębnił:
trafił prosto w gołębnik.

Wreszcie Mietek zwyciężył,
on doleciał na księżyc!
Celne było i śmiałe
lądowanie rakiety,
aż poleciał pył biały
ze zdobytej planety.

HELENA BECHLER

Gdzie jesteś?

Nad oknem puste gniazdko,
piórka, słomki zwisają.
Jaskółka już pewnie daleko,
w zielonym, ciepłym kraju.

Nad morzem, nad górami
przebyła kawał świata.
Z innymi dziećmi się wita,
nad inną wodą lata.

Czy wspomina nasz dom, jabłonkę
i staw z tatarakami?
Czy trafi, gdy sad będzie w pakach,
do gniazdka nad oknami?

H. B.

Złota kaczka

(stara legenda warszawska)

Był sobie szewczyk warszawski. Nazywał się Lutek. Pracował ci on u majstra jednego, u majstra na Starym Mieście. Ale cóż? Majster, jak majster, grosz zbierał do grosza, z groszy ciułał talary i czerwonce, a u chłopaka bieda aż piszczy.

Aż ci kiedyś na wieczorynkę poszedł do czeladnika jednego, co się niedawno wyzwolił i wiodło mu się niezgorzej. Wieczorynka aż miło! Jedzą, piją, gawędzą. Ni z tego, ni z owego o bajkach się zaczyna, o takich podaniach warszawskich.

I mówi jeden stary szewc, kuternoga:

— Ho! Ho! U nas w Warszawie i o pieniądź łatwo, i o sławę, tylko trzeba mieć odwagę i rozum we łbie jak się patrzy!

Zaciekawił się Lutek, pyta:

— Mówcie, co takiego?

— Ano nic — rzeknie kuternoga — na Ordynackim, w podziemiach starego zamku, jest królewna taka, zaklęta w złotą kaczkę. Kto do niej trafi — wygra! Ona mu powie, jak skarb ogromny zdobyć, jak stać się możnym bogaczem, magnatem!

Zapamiętał sobie to nasz Lutek, a do nocy świętojańskiej trzy dni trzeba czekać, nie więcej.

Wieczór spadł na gwarną Warszawę, gwiazdzisty, ciepły, czerwcowy.

Idzie sobie nasz szewczyk Lutek Krakowskim Przedmieściem, wszedł w Ordynacką, przeżegnał się: już blisko.

Spuszcza się Tamką, bo tam właśnie jest wniść do lochów ordynackiego zamczyska, idzie, lezie, ale mu coś niesporo.

Ano trudno! Raz się zdecydował: wejść trzeba!

Od Tamki, okienka nad ulicą dość nisko, szyb nie ma, ino kraty, ale taki chudzielec jak wąż się przecisnie. Włazi do wnętrza. Ciemno. Zapalił świeczkę — idzie. Przedostał się do piwnicy wielkiej, sklepionej, z jeziorkiem jakimś pośrodku.

Przy mdłym światelku świeczki lojowej, którą trzymał w ręku, obaczył Lutek jeziorko — a na nim — Boże drogi! prawdę mówił szewc Kuternoga: złota kaczka pływa, piórkami szeleści.

— Taś, taś! Kaczuchno!

I nagle — z kaczki czyni się precudna dziewczica: królewna.

— Czego chcesz ode mnie, chłopczyku?

— Jaśnie wielmożna królewno — Lutek powiada — nic ci ja nie chcę, ino zrobię to, co ty chcesz, abyś rozkazywała.

— Dobrze — odpowie księżniczka — tedy ci powiem! Uzyskasz skarby, jakich nikt na świecie nie ma i mieć nie będzie, panem będziesz, bogaczem, jeśli spełnisz, co do joty, to, co ci powiem.

— Słucham, jaśnie wielmożna.

— Oto masz kiesę, w niej sto dukatów: przez dzień jutrzejszy musisz je wydać, ale na potrzeby własne, dla siebie samego: nic ci z tego złota dać nikomu nie wolno, ni grosza, ni grosza! Pamiętaj.

— Cha! Cha! Cha! — zaśmieje się Lutek. — I cóż to trudnego? Będę jadł, będę pił, będę hulali! Wydam sto dukatów — a co potem?

— A potem, skarby niezmierne otworem stać ci będą, kopalnie złota prawdziwe, bogactwa niezmierzone: ale pamiętaj: ni grosza nikomu!

*

Nazajutrz dzień od rana samego puszcza się Lutek na miasto. Poszedł na Świętojerską, do sklepów z odzieżą, kupił kapelusz, ubranie.

Idzie, pogwizduje, laseczką macha, bo i laseczkę se sprawił, nie wie, co robić dalej. Sto dukatów! Dla siebie samego! Nie taka to łatwa sprawa wydać sto dukatów! Wstąpił do gospody. Każe sobie dać kietbasy, kiszki, piwa, bułek.

Je, je, aż mu się uszy trzęsą. Najadł się tak, że mu chyba na trzy dni wystarczy.

— Co się należy?

— Dwa złote, paniczu, i przydałoby się z dziesięć groszy napiwku.

Wydałże tu sto dukatów, bądź mądry! Ano trudno! Trza jakości ten pieniądź wydać. Pomyślmy!

Sypie ci Lutek na wycieczkę za miasto. Pojechał końmi do Wilanowa. Bryczkę wynajął na poczie, koni czwórka, poczytliion gra na trąbce. Uciecha.

Przyjechał. Dał dukata odźwiernemu przy parku. Chodzi po ogrodzie. Napatrzył się, południe już minęło. Pora powracać! I znów jest w Warszawie. Co robić? Gdzie wydać pieniądze, boć wydał niespełna pięć dukatów.

Spojrzał. Afisz na rogu: Teatr Narodowy. Nie ma co! Chodźmy do teatru.

W teatrze zabawiał się setnie.

Wyśmiał się, ucieszył, wychodzi.

Późna już pora. Czasu do wydania pieniędzy niewiele, a Bóg świadkiem — nie wie Lutek, co z nimi zrobić? Idzie, rozmyśla. A gdy tak idzie, na rogu zaułka starzec stoi zgarbiony.

— Panie — powiada — drugi dzień mija, gdy nic w ustach nie miałem. Starym żołnierz, paniczu, pod Somosierrą byłem, pod Smoleńskiem, pod Moskwą, przy księciu Józefie pod Lipskiem — poratuj mnie!

Sięgnął Lutek do kieszeni, wyciągnął garść złota, dał starcowi.

— Bógże ci zapłać, paniczu! Bóg ci zapłać! Będziesz szczęśliwy i bogaty!

Błysnęło! Zagrzmiąło!

Mignęła przed oczami Lutka księżniczka zaklęta.

— Nie dotrzymałeś obietnicy, nie dla siebie wydałeś pieniądze!

I znikła.

Rozejrzał się szewczyk: dziad stoi, jak stał poprzednio — i rzecze:

— Nie dukat, paniczu, daje szczęście, ino praca i zdrowie.

Ten pieniądź wart coś, co zarobiony, a darmocho na złe idzie.

Powrócił Lutek do domu rad i wesół. Ocknął się rankiem bez grosza w kieszeni. Wydał na siebie z dziesięć dukatów, a resztę oddał starcowi, ale też od tego czasu wiodło mu się jak nigdy. Wyzwolił się na czeladnika, niebawem majstrem został, ożenił się z panią piękną i zacną, dzieci wychował — i żył długie lata w zdrowiu, w dostatku i w szczęściu.

DWA MALUCHY

S potkały się dwa maluchy w ZOO. Jeden brązowy, drugi biały.

— Czy zechce mi pan powiedzieć, z kim mam przyjemność rozmawiać? — spytał brązowy maluch.

— Niedźwiedź jestem, proszę pana — odpowiedział biały.

— Ch-cha-cha! Niech pan wybaczy, że się roześmiałem. Ale, jeżeli pan jest niedźwiedziem, to kim ja jestem?

— Nie wiem, proszę pana — odpowiedział spokojnie biały.

— Ja właśnie jestem niedźwiedziem — oświadczył stanowczo brązowy.

— Niech pan nie zwraca głowy! Gdyby pan był niedźwiedziem, to miałby pan taki biały kożuch jak ja.

— Co pan opowiada! Odkąd to niedźwiedzie mają białe kożuchy?

— Od początku świata! Niech pan raczy sobie to zapamiętać.

— Nic podobnego, my niedźwiedzie mamy brązowe kożuchy. Ale pozwól pan, że zapytam jeszcze: Czy lubi pan miód?

— Miód? Cóż to takiego? — zdziwił się biały.

— Proszę! Mówi, że jest niedźwiedziem, a miodu nie zna — szydził brązowy maluch — Wszystkie niedźwiedzie lubią miód.

— Nic podobnego! My niedźwiedzie najchętniej jemy ryby.

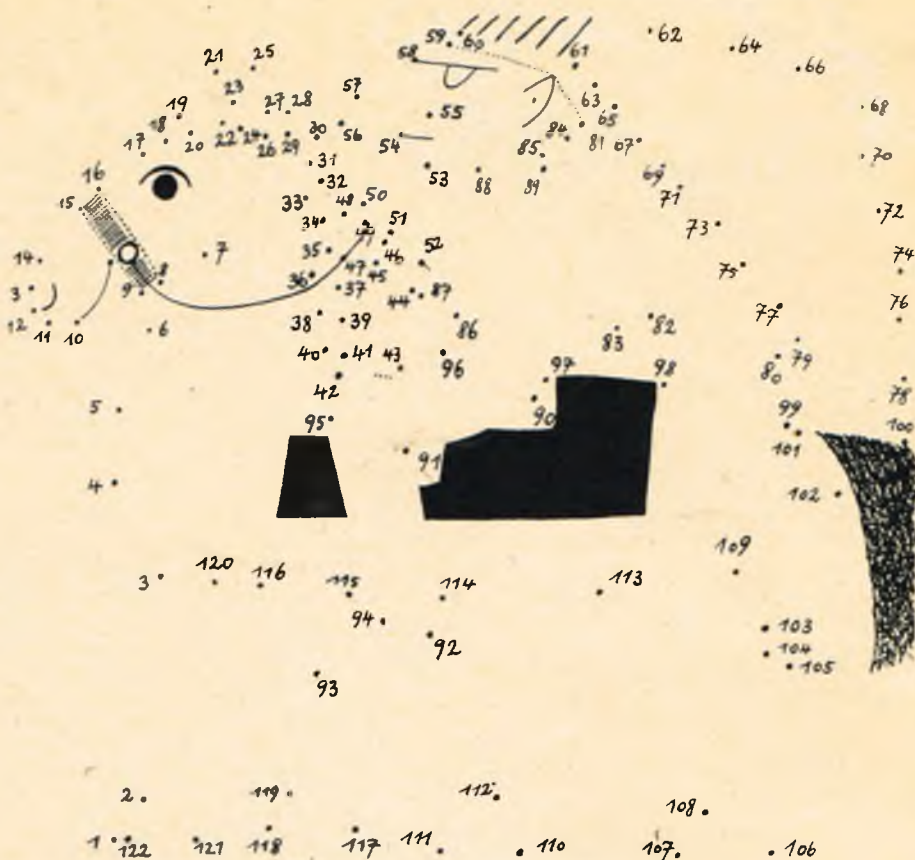
— Ryby? — zdziwił się z kolei brązowy.

— I jeszcze pan twierdzi, że jest pan niedźwiedziem? Wstydziliby się pan! Każdy porządny niedźwiedź najchętniej je ryby i nosi biały kożuch.

Długo jeszcze sprzeczały się dwa maluchy. Może nawet by się pobili, ale nadleciała sowa i wytłumaczyła im, że obydwa są niedźwiedziami. Jeden biały, żyjący na dalekiej północy wśród śniegów, a drugi brunatny.

— Jakie to dziwne, przecież każdy z nas jest inny — mruzczały niedźwiedzie i z powątpiewaniem kręciły głowami.

Co to jest?



Cóż to za tajemnicza figura i dziwnie porozrzucane cyferki? Rozwiązanie nie jest takie trudne. Spróbuj połączyć linią kolejno cyfry od 1 do 2, od 2 do 3 itd. a otrzymasz rozwiązanie.

Stefek Burczymucha

O większego trudno zucha,
Jak był Stefek Burczymucha.

— Ja nikogo się nie boję!
Choćby niedźwiedź, to dostoję!

Wilki? Ja ich całą zgraję

Pozabijam i pokraję!

Lew! — Cóż lew jest? — Kociak duży!

Naczytałem się podróży!

I znam tego jęgomości,

Co zły tylko, kiedy pości.

Szakał, wilk? Straszna nowina!

To jest tylko większa psina!

(Brysia mijam zaś z daleka,
Bo nie lubię, gdy kto szczerka!)

Komu zechcę, to dam radę!

Zaraz na ocean jadę

I nie będę Stefkiem chyba,

Jak nie chwycę wieloryba! —

I tak przez dzień boży całą

Zuch nasz trąbi swe pochwały.

Aż raz usnął gdzieś na sianie.

Wtem się budzi niespodzianie.

Patrzy, aż tu jakieś zwierzę

Do śniadania mu się bierze.

Jak nie zerwie się na nogi,

Jak nie wrzaśnie z wielkiej trwogi!

Pędzi, jakby chart ze smyczy.

— Tygrys, tato! Tygrys — krzyczy.

— Tygrys? — ojciec się zapyta.

— Ach, lew może? Miał kopyta

Straszne! Trzy czy cztery nogi,

Paszczę taką! Przy tym rogi...

— Gdzież to było?

— Tam na sianie.

Właśnie porwał mi śniadanie. —

Idzie ojciec, służba cała,

Patrzą... a tu myszka mała,

Półna myszka siedzi sobie

I ząbkami serek skrobie!



MARZENIE PTASZKA

Siedzi ptak na starej wierzbie,
zima tu, zima tam.
Kiedyż ja się wiosneczki
doczekam, doczekam?

Oj, doczekam ja wiosneczki
nie wcześniej, nie wcześniej,
aż razwiną się listeczki
czereśni, czereśni!

Oj doczekam ja wiosneczki
w ten ranek, w ten ranek,
gdy Marysia ujrzy, pączki
sasanek, sasanek!

Kiedy dzieci zaśpiewają
nad rzeką, nad rzeką,
wtedy ja się wiosneczki
doczekam, doczekam.

M. CZERKAWSKA

MOJ GOŚCIE ZIMOWI

Moi goście zimowi to przede wszystkim sikory i wróble.

Stołówka na balkonie otwarta jest od października do wiosny, do ciepłych, słonecznych dni, kiedy to moi goście przenoszą się od ogródka.

Pod daszkiem są resztki chleba i nasiona słonecznika, które wykruszyły się z zasuszonych tarcz. Tłuszcz zmieszany z okruskami wisi w puszcze od kawy, przechylonej na bok, żeby śnieg i deszcz nie padały do środka. Słonina i lój na sznurkach, a obok całe tarcze słonecznikowe.

Wróble dobierają się do chleba. Huśtawki na sznurkach to nie dla nich — za trudna gimnastyka.

Bogatki jedzą słoninę, tłuszcz z okruskami, chętnie siadają pod daszkiem.

Od czasu do czasu zjawia się sikora modra: malutka, kolorowa, z dziobkiem jak igielka. Niczym koliber trzepocze w powietrzu skrzydłami, zanim uchwyci pazurkami słoninę i uwieszona na niej skubie ją raz po raz.

Szare z czarnymi główkami sikory ubogie przychodzą rzadko, także najchętniej na tłuszcz i ziarenka.

A czy u was także bywają zimowi goście? Czy mają zawsze zaopatrzoną stołówkę?

HANNA ZDZITOWIECKA

ROZMOWY Z CZYTELNIKAMI

Pan Mieczysław Tyliński z Kalisza wie, że z całej „Rodziny” najbardziej interesują go „Rozmowy z Czytelnikami” i przy tym dziwi się, że „z wielu listów do Redakcji wyziera ją jadowite słowa nienawiści i wzgardy”. Przekonuje, że każdemu wolno mieć odrębne, własne poglądy, ale w ich obronie należy „polemizować uprzejmie, spokojnie i z rozsądkiem”. Ze swej strony pyta, dlaczego Kościół Polskokatolicki „przyjmuje porządek dziesięciu przykazań Bożych (Dekalogu) podawany przez katechizm Kościoła Rzymskokatolickiego. Wskazuje mianowicie, że według „Księgi Wyjścia” rozdział 20 „drugie przykazanie” zakazuje kłaniać się obrazom i „bałwanom” czyli posągom bożków natomiast według katechizmu „rzymskiego” drugie przykazanie mówi: „Nie będziesz brał imienia Pana Boga twego nadaremno”. Czy to nie jest lekceważeniem Pisma Św.? Czy nie jest prawdą, że Pan Bóg sam „uważał za stosowne ująć zakaz o wizerunkach w osobne przykazanie?”

Pragniemy najpierw zwrócić uwagę, że w Biblii przykazania Boże nie zostały ponumerowane. Wiadomo, że przykazań było dziesięć i że Mojżesz spisał je (wyrzył) na dwóch „tablicach kamiennych”, ale nie wiadomo dokładnie, które z podanych w Biblii zdań i słów znalazło się z pewnością na owych tablicach. Całość Dekalogu w Ks. Wyjścia zawiera 172 litery hebrajskie; trudno przypuszczać, aby Mojżesz rył aż taką ilość liter, zwłaszcza że chodziło mu o nakazy i zakazy, które każdy Hebrajczyk miał sobie bez trudności zapamiętać. Stąd przypuszcza się, że pierwotny tekst Dekalogu był b. krótki, a został rozbudowany dopiero przez późniejszych pisarzy czy przepisywaczy.

Następnie należy przypomnieć, że w pierwszych wiekach chrześcijaństwa istniały trzy różne sposoby układania Dekalogu: helleński, palestyński i augustyński. W sposobie helleńskim pierwsze przykazanie — „O zakazie czci bożków” rozdzielono sztucznie na zakazy dwa tak jak chce Czytelnik z Kalisza, mianowicie odrębne przykazanie brzmiało: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną” a drugie: „Nie będziesz się kłaniał bałwanom i obrazom”. Trzecie przykazanie mówiło o czci imienia Bożego a czwarte o szabacie. Tego systemu trzymali się tak sławni Żydzi z diaspory z I wieku jak Filon z Aleksandrii i Józef Flawiusz, a spośród chrześcijan: Orygenes, Grzegorz z Nazjanzu, Tertulian i św. Hieronim. System palestyński (uznany przez Izraelitów zamieszkujących Palestynę) uznał za pierwsze przykazanie słowa: „Jam jest Jahwe, Pan Bóg twój” — co było również niesłuszne, gdyż słowa te stanowią tylko wstęp do Dekalogu. Drugie przykazanie w tym systemie mówiło zarówno o zakazie czci „cu-

dzych bogów” jak i o kłanianiu się bałwanom (bo to jest razem — bałwochwalstwo). Trzecie przykazanie zajmowało się czcią imienia Jahwe, a czwarte — szabatem. **Podział augustyński** nie pochodzi od św. Augustyna, lecz został rozpowszechniony dzięki niemu również na Zachodzie — przeciwko poglądom św. Hieronima. Autorem tego podziału jest chrześcijański pisarz z przełomu II i III w., Klemens Aleksandryjski. To prawda, że podział ten znalazł się w katechizmie rzymskokatolickim, ale wcale go nie wymyślili katolicy rzymscy, ani żaden z papieży. Zna go cały Kościół Wschodni, Kościoły starokatolickie i ewangeliczne. Trzymamy się go dlatego, że jest słuszny. Jeżeli poganie mieli „bogów cudzych”, to przede wszystkim w postaci figur, posągów i obrazów. I to było bałwochwalstwo zakazane pierwszym przykazaniem: „Nie będziesz miał bogów innych oprócz mnie” (Powt. Pr. 5, 7).

Zwracamy uwagę, że Bóg nie zakazał rysowania lub rzeźbienia podobizn różnych stworzeń, lecz jedynie powiedział: „Nie będziesz się im kłaniał ani służył” (Powt. Pr. 5, 9). Nie chodziło tu o zakaz posiadania owych podobizn, ale wyłącznie o bałwochwalstwo.

Nie rozumiemy ostatniego pytania Korespondenta z Kalisza: „Kogo reprezentuje „chrześcijaństwo”, którego twórcą był Konstantyn Wielki?”. O ile nam wiadomo, cesarz ten nie stworzył chrześcijaństwa, lecz dał mu prawo publicznego wyznawania przekonań religijnych. Czyżby nasz Czytelnik miał inne informacje? Dziękujemy za pozdrowienia i wzajemnie pozdrawiamy.

P. Franciszek Jasiński z Łodzi osądza nasz Tygodnik jako „zgrzybliwy”. Poucza nas, byśmy się uczyli od innych pism, w których „nikt nie znajdzie jadu nienawiści ani wojny przeciw braciom swoim” — oczywiście „braciom” z Kościoła Rzymskokatolickiego. Jako „szczerzy” nasz przyjaciel radzi wyrzucić z Polskokatolickiego Kościoła wszystko co przypomina Kościół Rzymskokatolicki („obrzędy i strój”). Pyta: „Po co małpować rzymskie? — Jak polskie to polskie. Nie trzymać w ciemności ludzi!”

Łatwo zauważyć brak konsekwencji u naszego Czytelnika. Z jednej strony wzywa do miłowania „braci” rzymskokatolików, a z drugiej radzi nam fanatycznie walczyć z wszystkim, co rzymskokatolickie. Dodajmy, że na początku listu wyznaje: „Pod względem religijnym jestem obojętny”.

Okazuje się, że mimo najlepszych chęci nie możemy w naszym Tygodniku zachować linii dalekiej od „zgrzybliwości”. Niepokój i zgrzybliwość wprowadzają sami Czytelnicy swoją „zgrzybliwą” korespondencją.

A co do „wyrzucania” z Kościoła Polskokatolickiego szat i obrzędów rzymskokato-

lickich informujemy, że za tego rodzaju radami nigdy nie pójdziemy. Ani szaty, ani obrzędy nie są wyłączną własnością Kościoła Rzymskokatolickiego. To własność całego chrześcijaństwa zachodniego.

Pan Jerzy Karwiński „adwokat” — zarzuca nam już na wstępie „ignorancję zagadnień religijnych”. Na pięciu stronach maszynopisu mozoli się otwieraniem drzwi otwartych czyli przekonywaniem nas, że samym rozumem nie można uzasadnić prawd wiary chrześcijańskiej. Pod koniec listu pisze: „Nie wiem, czy starczy Wam odwagi na wydrukowanie choćby fragmentów mego listu w dziale „odpowiedzi redakcji”. Jeśli tak — czekać będę na inteligentną i nowoczesną odpowiedź”.

Korespondent zdaje sobie sprawę, że Kościół i jego hierarchia nie ma monopolu na „poznanie” Boga i że po prostu przekazuje to, co Bóg zechciał o Sobie objawić. Ale właśnie tenże Korespondent drwi z samego Objawienia. Oburza się: „Człowiek wierzący musi rozum odłożyć „ad acta” i sięgnąć do objawienia. Człowiek XX wieku ma zacerpnąć wiedzy ze źródeł o kilkadziesiąt wieków od niego starszych — źródeł pisanych ręką naszych przodków, nie znających elektryczności i wierzących w to, że błyskawice otwierają niebo, grzmoty oznajmują gniew Boga, a tęcza jest znakiem przymierza między Bogiem a ludźmi... Człowiek, który jedną po drugiej rozwiązuje tajemnice przyrody, który idzie coraz dalej w rozszerzaniu swej wiedzy — musiałby mieć nowe, godne swego rozumu dowody istnienia Boga. Jeżeli ich dzisiaj brak, jeżeli tak trudno dzisiaj o „cuda” i o „świętych” — to najlepszy dowód, że wraz z rozwojem nauki musi zniknąć wiara i na to nie pomogą fakirskie skoki...”

Musimy stwierdzić, że jeden z „fakirskich skoków” zastosował p. „Adwokat” właśnie w powyższych wypowiedziach. Jest on „inteligentny”, jest też „nowoczesny”, więc nie może przyjąć Objawienia danego przed wiekami. Z jego rozumowania wynikałoby, że w XX wieku należy odrzucić wszystko co niegodne czasów atomu, telewizji czy lotów kosmicznych. Odrzucmy więc Dekalog, odrzucmy naukę o Chrystusie, odrzucmy całą Biblię, bo za starą na nasze czasy! Zapytajmy jednak także matematyków, kiedy wyrzucą na śmietnik twierdzenia Pitagorasa, fizyków zapytajmy, kiedy wyrzucą z podręczników prawo Archimedesesa czy nawet Newtona. Uczeń ci żyli ładnych kilka lat przed p. „Adwokatem”, więc nie wypada budować nowoczesnej nauki na ich odkryciach, zwłaszcza, że o tych odkryć dokonano w czasach powszechnego analfabetyzmu i ciemnoty...

W celu podsumowania tej polemiki (wymagającej specjalnego traktatu o stosunku wiedzy do wiary) stwierdzamy krótko, że 1) samym rozumem żadnej prawdy wiary udowodnić się nie da, 2) podstawą wiary jest Objawienie Boże, 3) prawdy wiary nie starzeją się, 4) prawdy wiary zawsze należy podawać „inteligentnie” i „nowocześnie”, 5) prawdy wiary należy ostro odsunąć od naiwnych cudowności czy zabobonów.

Panu „Adwokatowi” przesyłamy pozdrowienia z prośbą o przedstawienie swoich pytań czy wątpliwości sześć razy krócej, ale za to bardziej konkretnie i jasno.

Wydawca: Instytut Wydawniczy „Odrodzenie”. Redaguje Kolegium. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Wilecza 31. Tel. 28-97-84; 29-26-43. Warunki prenumeraty: Prenumeratę na kraj przyjmują urzędy pocztowe, listonosze oraz Oddziały i Delegatury „Ruch”. Można również dokonywać wpłat na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23. Prenumeraty przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Cena prenumeraty: kwartalnie — 26 zł, półrocznie — 52 zł, rocznie — 104 zł. Prenumeratę na zagranicę, która jest o 40% droższa — przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, tel. 20-46-88, konto PKO Nr 1-6-100024. (Roczna prenumerata wynosi: dla Europy 75, 19,70 DM, 23,40 NF, 1,13,6 £; dla St. Zjednoczonych i Kanady 75; dla Australii 2,10,5 LA, 20,4 LE). Można również zamówić prenumeratę, dokonując wpłaty na konto Instytutu Wydawniczego „Odrodzenie”: PKO Nr 1-14-147290. Nie zamówionych rękopisów, fotografii i ilustracji redakcja nie zwraca.



Huty Śląska



ŚLĄSKIE WCZASOWISKO



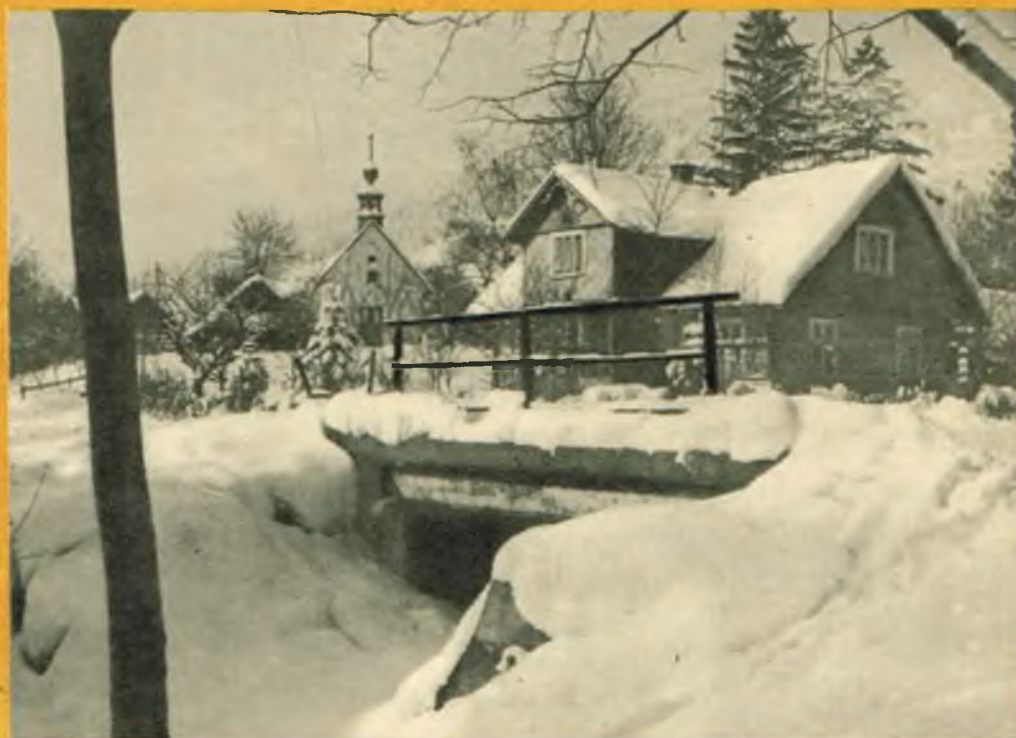
Widok ogólny Szczyrku

Kominy fabryczne, hałdy węgla, oto pejzaż Śląska. Ale nie całkowity. Od tego drugiego Śląska — lasów zielonych i gór, świetnych terenów narciarskich dzieli zaledwie godzina drogi autobusem, 10 km na południe od Bielska-Białej rozciąga się pasmo gór Beskidu Śląskiego. Między górami Klimczokiem od północy a Skrzycznem od południa, w wąskiej dolinie leży miejscowość Szczyrk. Prawie na przestrzeni 7 km płynie obok szosy potok Zylca. Dla tych, co szukają wypoczynku i łatwiejszych tras narciarskich, miejscowość wymarzona. Nie ma tu szumu i gwaru zakopiańskiego, czy rewii mód Krynicy, za to łagodne zbocza beskidzkie dają możliwość uprawiania narciarstwa i tym niezbyt wprawnym amatorom białego sportu.

Szczyrk, mimo że jest tu sporo domków, sprawia wrażenie nieco ludniejszej wsi, która ma szansę rywalizować z podobnymi miejscowościami. Po raz pierwszy nazwa tej miejscowości pojawia się w 1688 r. w dokumencie wystawionym klasztorowi dominikanów przez kasztelana krakowskiego Jana Kazimierza Warzyckiego, który był właścicielem tych dóbr — wsi najbardziej wysuniętej na zachód Małopolski. Na podstawie tego dokumentu, wieś Szczyrk stała się własnością klasztoru dominikanów w Krakowie. W czasie rozbiorów Polski, tereny te stały się częścią zaboru austriackiego, a sama wieś przeszła w ręce niemieckie. Po pierwszej wojnie światowej, ruch turystyczno-wypoczynkowy objął i tę miejscowość, ale w bardzo małym stopniu. Dopiero ostatnie lata, elektryfikacja wsi, połączenie autobusowe z Katowicami, Bytomiem, Gliwicami dały szansę rozwoju tej miejscowości. Dogodne połączenia komunikacyjne otworzyły rzeszom górników spędzanie weekendów w górach. Powstały też domy wczasowe, nowy wyciąg na Skrzyczne i nowe hotele. Szczyrk z każdym rokiem ściąga nowe rzesze turystów i urlopowiczów i cieszy się zasłużonym zainteresowaniem. (ch)



Kościół w Szczyrku



Dom wypoczynkowy w Szczyrku